ZYGMUNTOWSKIE CZASY.

ZYGMUNTOWSKIE CZASY

POWIEŚĆ Z ROKU 1572

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO

TOM IV.

WARSZAWA,

Nakład i druk S. ORGELBRANDA Księgarza i Typografa

przy ulicy Miodowéj Nr. 496.

1846.

Pozwala się drukować pod warunkiem, aby po wydrukowaniu złożoną była w Komitecie Cenzury liczba egzemplarzy prawem naznaczona.

St. Petersburg 1845 *roku, Sierpnia* 25 *dnia*

IGNACY IWANOWSKI Cenzor.

SŁUP MĘCZARNI I JAMA WILCZA.

II.

Gdy oczy otworzył, znalazł się więzień, w ciemném i zawartém miejscu. Podniósł głowę i nie ujrzał nic, tylko mury wysokie, w górze przecięte kilką wązkich okien, którémi słabe światło bladéj nocy wpadało. Ręka jedna go bolała, za tę rękę uczuł się przykutym łańcuchem do słupa podpiérającego sklepienie wieży, na któréj dnie wespół z wielą

innemi więźniami leżał. Do koła chrapanie uśpionych, jęki słabych i rannych, krzyki we śnie marzących jeszcze o przebytych katuszach, rozlegały się, towarzyszył im jednostajny szum wiatru i pluskanie limanowéj wody o mury więzienia. Kilkudziesiąt jeńców jak on na łańcuchy do słupa przykutych, sparci oń, lub wywróceni na ziemię wysłaną kamieniem i potrząśnioną trzciną suchą, leżało. Wszyscy tak byli znękani, tak nieszczęśliwi, że żaden z nich nie miał wejrzenia i politowania dla nowo przybyłego towarzysza. Niedola bowiem, nędza, nękają i zatwardzają człowieka; szczęście robi go czułym i miłosiernym; a choć długo przeciwnie mniemano, dziś wiemy jak dalece to prawda. Ludzie szczęśliwi wstydzą się niejako swojego szczęścia w obec niedoli, i jeśli nie z szlachetniejszych pobudek, to dla tego aby nie patrzali na cierpienie, wesprą je; przeciwnie cierpiący, znękani odpowiadają na skargi, zawsze słowami Gwatymozina. „A jaż na różach jestem?“

Wszyscy towarzysze Nadbożanina zdawali się zupełnie zobojętnieli na nędzę swoją i cudzą. Ci co usnąć mogli, pomimo chłodu, wilgoci, zaduchy smrodliwéj i ran swoich, spali, ci którym sen nie przyszedł na powieki, jęczeli z rozpaczą lub milczeli w odrętwieniu. Żaden się nie pochylił, ku budzącemu z bolesném westchnieniem jeńcowi. Towarzysz tuż na jednym barłogu leżący, popchnął go sobą tylko i obróciwszy głowę na ramię, spojrzał obojętnie, mówiąc pół głosem. Żyje!

— Bodajbym nie żył! ozwał się szlachetnie.

— Każdy z nas to codzień powiada! odparł zwracając się i układając do snu niewolnik, ale cóż to pomoże?

To powiedziawszy czy zasnął, czy udawał że śpi. Powoli rozwidniać się zaczęło, na dnie wieży i okropny widok uderzył oczy Nadbożanina. W koło słupa wyciągnięci na trzcinie, leżeli, siedzieli, drzeli pokurczeni biédni brańce, przykuci jedni za nogi, drudzy za ręce,

inni wpół ciała, po większéj części obnażeni, odarci, poranieni okropnie, z ranami nie opatrzonemi, nie zawiązanemi, ropiącemi, gnijącemi ohydnie.

Starzec siwy konał z drugiéj strony słupa klnąc i wyrzekając.

— Żona, dzieci, wołał — swoi! Wszyscy zapomnieli, nikt nie wykupił. Żona, dzieci — przeklęci! Niech im sprawiedliwość Boża takiemi męki jak moje zapłaci na drugim świecie. Dzieci! nié mam dzieci! nié mam dzieci! przeklęci. Pięć razy posyłałem o wykup. I coraz ciszéj wyrzekając, ostygł i skośniał.

Obok leżący tylko głowy podnosili i znowu na trzcinę upadli.

Średnich lat z czarną długą brodą mężczyzna, sparł się na łokciu, popatrzał i śmiejąc się dorzucił.

— Patrzcie! do śmierci rachował na żonę i dzieci!! Potém gorzko westchnąwszy poruszył głową w dłoniach.

Za umiérającym, obok niego leżeli chorzy,

zarażający jedni drugich ranami, których zgnilizna powietrze napełniała. A towarzysze przykuci łańcuchem odsunąć się nawet nie mogli od nich. Jeszcze daléj leżał trup wpół od robactwa stoczony, z którego łańcuch opadł, a nie wyniesiono go z tamtąd. Stosy brudów, wałem otaczały słup nieszczęsny, *słup męczarni*, jak go zwano. O! była to straszliwa męczarnia, któréj opisać nawet nie podobna. To pobratymstwo choroby i zdrowia, śmierci i życia, zgnilizny i gnojów z młodością, u jednego słupa, w koło którego na długość tylko łańcucha wlec się mogli jeńcy. Raz w dzień jak psom rzucona strawa nędzna, zeschły suchar, woda wpół słona limanu, nieprzywykłym szkodliwa, a do oddychania powietrze zgniłe nieprzewiane świéżym powiwem nawet, wilgotne zatęchłe.

Dnie długie bez pracy żadnéj, na trzcinie, w zgniliznie, dłuższe jeszcze nocy czarne, a z nikąd słowa pociechy, a nigdy słowa nadziei. Bo w XVI wieku rzadko i to tylko najznako-

mitszych z niewoli wykupywano. Na jednych składała się Rzplita, drugich okupywali krewni, ale trudności w wyszukaniu jeńców, w dostaniu się na Tatarszczyznę, wszystkich zresztą odstręczały. Rzadki był bardzo przykład ucieczki z niewoli.

Jeńcy zabrani przez Tatarów, szli potém na sprzedaż do Turcij, na galery Sułtańskie, lub w nadziei okupu gnili w Białogrodzkich wieżach.

Ciężkie i straszne to było życie, prawdziwy czyściec ziemski, piekło doczesne. Każdy wzdychał do śmierci, możniejszych i dostojniejszych tylko trzymano w innych częściach zamku, nieco lepiéj żywiąc i obchodząc się z niémi; co się tycze innych tych przykuwano, karmiono, jak psy chłostano gdy się zbytecznie miotali, lub zabijano nawet okrutnie.

Wszyscy prawie towarzysze u słupa męczarni, byli szlachtą podolską i wołyńską, zabraną już na wojnie, już w wyprawach Ordy; jedni dawniéj, drudzy świéżo przykuci. Wy-

chudli, zżółkli, różnili się tylko tém, że niedawno przybyli mieli nadzieję jakąś zawsze, starsi nieszczęściem już żadnéj. A srogiego ich losu, nie słodziła nawet braterska litość i pomoc wzajemna. Każdy się rwał na swoim łańcuchu i jęczał za siebie, nie patrząc na drugich.

W długie dnie, jeśli który mówić, opowiadać zaczął, płakać nad swoją dolą, to drudzy go zagłuszali brzękiem łańcuchów i zmuszali milczeć; bo cudze nieszczęście, przypominało im straty, których gwałtem chcieli zapomnieć. Zewnątrz czy zamek wrzał gotującą się wojną, czy milczał odpoczynkiem, nic nad plusk wody o ściany wieżycy, nie dochodziło do uszu zamknionych. A gdy nowy towarzysz kładł się na miejscu niedogniłego trupa w barłog niewoli, nikt go nawet nie spytał o wieści ze swojego świata, o którym wiedzieć nie chciał, nie spodziewając się go już zobaczyć.

Nieco lżejszy był los tych niewolników, których Aga turecki dowodzący w Białogrodzie,

do własnych posług używał, ale takich było kilku tylko szczęśliwszych i choć ich okładano razami, za najlżejszą często wymyśloną winę, nie skarżyli się, bo przynajmniéj oddychali powietrzem wolném i choć w łańcuchach, poruszali się, twarze ludzkie, niebo nad głowami, świat Boży widzieli. Użyci wewnątrz zamku nosili wodę ze źródła nad Limanem w stronie południowéj położonego, łamali kamień niedaleko miasta, na nowe budowy, palili w łaźni u wejścia zamku znajdującéj się i t. p.

Nadbożanin wyszedłszy z ran swych i niemocy jako jeden z najmłodszych i najsilniejszych, wybrany został w miejscu zmarłego woziwody i okuty w kajdany, jeszcze od krwi jego pordzewiałe. Los ten tak ciężki wydał mu się szczęściem! Zobaczył znowu świat, mógł chodzić, mógł być sam jeden choć chwilę. Na noc tylko zapierano ich kilkunastu razem w loch ciągnący się pod wałem zamkowym i wychodzący kraciastém oknem na Liman

z dwóch stron, na którego przeciwnym brzegu o półtoréj mili odległym, bielała mizerna wioszczyna Chadżi-Dere.

Ruch podworców zamkowych, widok wojsk dworu, lepsza trochę strawa i nadzieja ucieczki, odżywiły jeńca. Całe nocy bezsenne on i towarzysze jego naradzali się tylko, jak uciekać i dokąd? Dokoła ziemia Tatarska klinem do morza przytykająca, z jednéj strony Liman i Dniestr, a za niemi step zowiący się jeszcze polskim za Zygmunta I. ale za syna jego już powolnie przez tatar na koczowiska zajęty i owładany. W tę stronę ucieczka była najłatwiejsza, a jednak z tysiącem trudności i niebezpieczeństw połączona. Bo przypuściwszy że półtoréj mili Limanu przebyli więzniowie, z drugiéj strony nagim stepem zasianym Tatarami przedzierać się było potrzeba ku *Uzu* to jest Dnieprowi do kozaków i stannic polskich nad granicami będących. Step ten wprawdzie gęstemi był przecięty jarami (bałki) ale w jarach koczowali Tatarzy Jedyszańcy,

a po nad brzegiem morskim stały wioski tureckie i twierdze.

Pomimo tylu trudności, jeńcy marzyli tylko o swobodzie, która jakkolwiek ucieczką do uzyskania ciężka, nie była jednak bez przykładną. Ale naprzód jak przebyć Liman? Na łódce, skąd że jéj dostać? Dniem każda łódka postrzeżona być może od Białogrodu do Chadżi-Dere, a nocą obłąkać się łatwo, wpędzi na tamy piasku, lub wiatrem odegnanym być ku Bugazom (gardłom) Dniestru, ku morzu?

Cała wiosna, lato, jesień, na pracy ciężkiéj i nocnych o swobodzie rozmowach ubiegały. Gdy księżyc świecił, zamknięci na noc w lochu, cisnęli się wszyscy do kraciastego okna, patrzeć na Liman, na brzeg drugi, co się zwał choć już nie był w rzeczy, polskim. Nadeszła zima, zima ciężka, morze na kilkanaście staj od brzegów zamarzło, ściął się i Liman Dniestrowy. Tym sposobem ucieczka była w połowie ułatwiona. Podobieństwo wymknienia się rozżarzyło niewolników, jedni z gwoździ

poznajdowanych i kawałków żelaztwa usiłowali porobić narzędzia do rozbicia kajdan, drudzy zbierali ukradkiem żywności i chowali w lochu, gdzie ich na noc zamykano, inni łachmany odzienia i skór baranich dla zasłonienia się od chłodu, gotowali. Krata wychodzącego na Liman okna, była gruba, gęsta, ale jak najpospoliciéj w budowach tureckich drewniana i oddawna przez zamykanych tu nadruszona tak, że jedném stuknieniem ręki, wybić ją było można.

Niezastanawiając się nad tém co wyniknąć może, wszyscy pięciu, zamknięci w lochu umówili się następnéj nocy uciekać. Księżyca nie było, śnieg tylko, który popruszył ziemię, nieco światła dawał, niebo chmurne, zamieć grożąca.

Wcześnie dosyć, aby mieć czas w ciągu nocy przebyć Liman, dostać się na drugi brzeg i ukryć gdzie w jamę lub wybitéj dla dostawania kamienia górze, wybrali się z drzeniem i biciem serca, biédni jeńcy. Krata została

wyłamaną, a ledwie padła tocząc się z hałasem po skale, gdy każdy chciał być piérwszy w swobodzie, rzucili się w otwór.

Łańcuchy jedni drugim porozbijali kamieniami, nie bez kalectwa i ran. Ale czém tam rana i ból, gdzie chodzi o oswobodzenie się z takiéj niewoli?

Zaledwie wybrawszy się na lód i ubiegłszy kilka kroków od twierdzy, któréj ciemne mury groźnie sterczały nad głowami zbiegów, postrzegli wszyscy, że ciężéj będzie przebyć Liman, niż się zdało. Śnieg suchy na lód upadłszy, pozwiewany w kupy, gdzie niegdzie leżał tak grubo, że po pas brnąć w nim trzeba było, gdzie niegdzie zmieciony, i z podjego szklistéj śliskości jak szyba, wyciągały się zmarzłe wody Dniestrowe.

Tu i owdzie, jak się to często trafia na Limanie, lód skutkiem mrozów i zmian powietrza, popękał i między dwóma krajami jego, na sążni dwa lub trzy czerniały otwory, w których woda szumiała. Te rozpadliny

albo bardzo daleko i z wielkim nakładem drogi obchodzić było potrzeba, albo przeskakiwać. Zapędziwszy się z samego początku, dwóch utonęli. Reszta — reszta ostrożniéj, ale szła naprzód zawsze: to skacząc, to obiegając wodę, to brnąć zaspami śniegu, to ślizgając się na lodach obnażonych. Ale trzéj zbiegli w krótce poczęli ustawać i sporzyć o kierunek drogi, jedni chcieli iść w lewo, ku Chadżi-Dere, drudzy w prawo nad morze. W tém zerwała się zawierucha śniegowa i do reszty obłąkała uciekających. Dwaj upadli znużeni na pół Limanu i Nadbożanin sam tylko pozostał. Nie było czasu litować się, namawiać, trzeba było śpieszyć rzucając ich więc i krzyknąwszy tylko, aby w razie schwytania nazajutrz, powiedzieli że utonął; puścił się lodami kierując tak, aby wiatr mieć w prawo zawsze i rachując, że powinien minąć wioskę turecką, a wyjść między morzem a nią, na stały ląd. Już miało świtać, gdy po niesłychanych trudach i znużony tak, że ledwie się wlókł

szlachcic nasz, stanął na ziemi. Ale nie czas spoczywać, trzeba było wprzód miejsce znaleść bezpiecznie.

Blizkość wioski dawała mu nadzieję, odkrycia gdzie łomni kamienia, dla przesiedzenia dnia; jakoż pod wzgórzem na północ to jest tyłem do morza a otworem do lądu obruconém, wyszukał pieczary, zasypanéj na pół śniegiem. Świéże tylko zwierzęce po niéj ślady i kilka kropel krwi zdradzały przejście wilka. Ale zwiérza nie lękał się tyle Nadbożanin co Tatara.

Właśnie schwyciwszy na stepie koło stożysk w koszarach owcę, wilczyca wciągnęła ją była, w jamę swoją, gdy podniosłszy kamień u wejścia, szlachcic wpadł tuż za nią. Dwoje tylko oczów błyszczących w ciemności zobaczył, a kierując się niemi, tak silnie ciął kamieniem w głowę zwierze, że ledwie czas mając schwycić go za nogę i zapuścić zęby w ciało, upadło wpół martwe. Lekając się, aby jego krzyku nie posłyszano, zbieg

nie pisnął nawet, starał się w milczeniu ścisnąwszy zęby, rozerwać wilczą paszczękę, która się zcięła w skonaniu na jego nodze. Walcząc z bólem i dobywając sił ostatka, dokazał tego nareszcie, padł i spoczął. Krew lała mu się z nogi strumieniem, ale w jego położeniu, mało go to obchodziło! Tyle już cierpiał i bez tego! Wytchnąwszy z zaziajania, obwinąwszy nogę, zaszywszy się w najgłębszy kąt pieczary pełnéj kości, piérza i podartéj skóry zwierząt; Nadbożanin ujrzał obok siebie wilczycy ścierwo i zduszonę owcę. Była to droga zdobycz. Począł obie skóry zdzierać, aby się niemi odziać, a urwawszy zębami mięsa zaduszonéj owieczki, zjadł chciwie, napił się śniegu, a chwilę jeszcze powalczywszy ze snem, zmrużył powieki.

I w téj chwili, w któréj każdy inny człowiek, byłby marzył o pogoni, o niewoli, biédny zbieg śnić począł snem swoim zwyczajnym, płynął po Bohu z piosenką. Anna stała na wałach zamkowych i witała go uśmiechem

i mówiła mu. To było marzenie, chodź ze mną.

A potém szli przez bogate komnaty, ręka w ręku, oko w oku, i wybiegali na ogród, z którego ukazywał on jéj słobodę swoją w gaju, ona mu rzekę zakręcającą się w dolinie, gdzie go piérwszy raz ujrzała.

Dwoje świecących oczów zapałały nad głową śpiącego, on się przebudził. To był wilk, który poczuł krew w jamie i zastawszy człowieka najeżył się, nasrożył, dumając jeszcze czy nań się rzucić, czy uciekać. Grzbiet bestij cały nastawił się włosem, wygiął, oczy na wierzch wyszły, język wywieszony, zęby białe z pod sinéj wargi świeciły. Nadbożanin ledwie miał czas porwać się na nogi, gdy płowy napastnik, już go pochwycił. Walka w téj ciasnéj jamie, w któréj o ostre zewsząd kamienie się tłukli co chwila, tarzając po odartych scierwach wilczycy i owcy i po wyschłych kościach, walka była okropna i zjadła. Nareszcie schywyciwszy wilka za gardło, po-

mimo szamotania jego, zdusił Nadbożanin i sam upadł nań wysilony do ostatka. Więcej potłuczony i podrapany, niż ranny, dzięki skórom któremi się świeżo okrył, po godzinnym spoczynku, jął się do odarcia wilka. Dzień był wielki, mróz silny, światło dniowe wpadało do jamy przerażające, straszne, bo co chwila zdradzić mogące. Chadżi-Dere, wieś turecka, której w początku niepostrzegł zbiegły, była tak blisko, że głosy mieszkańców dochodziły ukrytego, ryk bydła i beczenie owiec słychać było. Dzień wydał mu się śmiertelnie długi, a zasnąć już nie potrafił, chociaż teraz mógł być bezpieczniejszym od wilków stepowych, gdy się sąsiednia wioska rozbudzać zaczęła.

Nad wieczorem wzdrygnął się szlachcic słysząc zbliżające coraz wyraźniejsze a wyraźniejsze głosy ludzkie i szczekanie psa. Głosy to były dziecięce, swawolne, wesołe. Zastanowiły się niedaleko od pieczary i żywo, tłumne dochodziły wyraźnie uszu ukrytego zbiega.

Pies zawył, on usłyszał tupanie blisko, potém ujrzał łeb psa i oczy iskrzące w otworze.

Pomimo nawoływań dzieci, pies uporczywie szczekał na wilcze ścierwa i na człowieka, którego napadł; aż zwabił swawolących do siebie.

Śmielszy, starszy Tatarzyn lat około dziewięciu, wpół nagi pomimo mrozu, kawałkiem kożucha tylko osłoniony, zajrzał, krzyknął i począł wołać towarzyszów. Było ich tyle, że choć dzieciom, obronić się słaby nie mógł, a przytém posiłkujący im pies i blizkość osady tureckiéj, wszelką wymknienia się mu odbierała nadzieję. Wnet dzieci otoczyły pieczarę, szczując psem nieszczęśliwego, wołając nan, rzucając kamieniami do jamy. Jeden z nich pobiegł do wioski po starszych. W rozpaczy obsadzony tak niespodzianie zbieg, chciał się przebijać, uciekać, ale sił nie miał: podniósł się, nogi mu zadrzały, padł na kamienie. W mgnieniu oka, ludzie ze wsi z biczami, z kijmi, z powrozami nadbiegli, wyciągnęli go

i popędzili, wśród radosnych odgłosów dzieci do Chadżi-Dere.

Nazajutrz sprzedany przez Turka (do którego pies należał, a raczéj na którego podwórzu kości ogryzał) przytroczony do Tatarskiego konia, szlachcic szedł stepem ku kujalnickiéj bałce, gdzie był *aul*, mieszkanie jego nowego pana.

W rozdole szerokim, i ciągnącym się ku morzu, środkiem którego płynął strumień wąziutki, zakończony ku południowi limanem, stała wioska tatarska.

Opodal od siebie były namioty z pilśći okrągłe, różnéj wielkości, szare, tak urządzone, że na wóz włożone i przeniesione z miejsca na miejsce być mogły. U góry klapa na sznurku podnosząca się wypuszczała dym ogniska, kilka słupów w ziemię wbitych, budowę tę utrzymywały. Wewnątrz ubogo. Wiadro z wodą z jednéj strony drzwi, wiadro z mlékiem kobylém fermentującém z drugiéj, środkiem ognisko *z Kazanem* na żerdziach zawie-

szonym, do koła siedzenie, trochę broni, kożuchy, worki z mąką, worki z sérem, sznury i łyka, ot wszystko; kobiéty chociaż u Tatarów, jak w innych wschodniego pochodzenia ludów, były prawie niewolnicami; tu jednak więcéj daleko miały swobody, niż u Turków. Zchodziły i wychodziły swobodne, bez zasłon, mięszały się do mężczyzn, niekiedy szły na wojnę nawet.

Nadbożanin u nowego pana, nieco łagodniéj utrzymywany, karmiony tąż strawą co panowie i konie (mąka jaglana) obracał żarna, nosił wodę i dopełniał innych cięższych posług domowych. Właściciel czekał tylko pory i zręczności do zbycia go.

To była dopiéro piérwsza połowa życia niewoli Nadbożanina, który wkrótce potém sprzedany do Stambułu, dziesięć lat spędził na galerach Sułtańskich, razem z wielą innemi współbraćmi.

Jednostajnie płynęło życie niewolnika, przykutego do ławki, robiącego wiosłem do zdechu,

póki pletnia nadzorcy ostatka sił, z wycieńczonego nie wyparła. Nazajutrz toż samo, toż samo zawsze.

Jednym z wypadków ważniejszych życia Nadbożanina, było przykucie do jednéj ławy obok, pochwyconego duchownego z Polski rodem, który zabrany przez zbójców morskich, sprzedany w Stambule, popadł na galerę, chociaż sił nie miał potemu.

Ksiądz ten zesłany był od Boga, aby umysły ponękanych podniósł, aby ich ożywił nadzieją wyższą i oddawna odrętwiałych do religijnego życia, pociechami wiary ku niéj nawrócił. Sam pracując z innemi, zamiast jęczeć na rany i pracę, ksiądz Marek, cały się wylał na osłodzenie losu współbraciom. Z kolei, wymówny, natchniony, pełen uczucia, potém wesół i spokojny, zapałem swym i pogodą duszy podniósł upadłych i zbolałych. Niewolnik, zdawał się nie czuć swéj niewoli tak mocno wierzył w życie drugie, w nagrody za grobem i wlewał to zaufanie w towa-

rzyszów. Schorzały, blizki śmierci, dzielił czas wytchnienia na modlitwę i nauki zbronione.

Jednéj nocy księżycowéj, pięknéj i cichéj, galera płynęła po morzu Marmara, gdy Marek upadł na wiosło swoje i z złożonemi rękoma wołać począł.

— W ręce twoje panie.

Nadzorca spał, najbliższy księdza, nasz szlachcic, rzucił się ku niemu, on konał. Piękna to była śmierć! Tak spokojna, tak zaufana w przebudzenie wesołe, tak niepłacząca świata i oderwana od niego! Z dolin wiatr przynosił woń rozkwitłych jaśminów, tamarysów i akacyj, morze było ciche, fale fosforycznemi blaski migały, galera płynęła powoli, w dali Stambuł bielał na szafirze niebios wysmukłemi minarety swych meczetów i długiemi mury Sułtańskiego Seraju, na których ciemniały rozsypane drzewa; daléj czarne cyprysy smętarzy wśród grobowców białych szumiały smutnie. Cicho było, on konał i modlił się.

A obejrzawszy do koła, rzekł słabym do towarzysza głosem.

— Bracie, zachowałem przy sobie, papiery, skrypta ważne dla jednéj rodziny, umieram, ciało moje wrzucą w morze, weź je przychowaj, może kiedy szczęśliwszy powrócisz do kraju, oddaj je komu służą, może inny. Niedokończył ksiądz Marek i skonał. Tak Nadbożanin odziedziczył po nim zwitek papierów, który starannie zachował.

A długie, długie były lata niewoli, postarzał w nich, siły stracił, zgiął się; jednak często zwracając ku rodzinnéj stronie wzdychał jeszcze za ojczyzną i śnił że płynął po Bohu, pod wał zameczyska, na którym stała Anna. Pamięć téj chwili życia nie zgasła w nim do ostatka.

A obejrzawszy do koła, rzekł słabym do-
towarzysza głosem.

— Bracia, zachowałem przy sobie, papiery, skrypta ważne dla jednéj rodziny, umieram, ciało moje wrzucą w morze, weź je przychowaj, może kiedy szczęśliwszy powrócisz do kraju, oddaj je komu służą, może inny. Niedokończył ksiądz Marek i skonał. Tak Nadbożanin odziedziczył po nim zwitek papierów, który starannie zachował.

A długie, długie były lata niewoli, postarzał w nich, siły stracił, zgiął się; jednak często zwracając ku rodzinnéj stronie wzdychał jeszcze za ojczyzną, i snuł że płynął po Bohu, pod wał zamczyska, na którym stała Anna. Pamięć téj chwili życia nie zgasła w nim do ostatka.

POWRÓT DO RODZINY.

III.

Mamyż opisywać rozciągle, utrapione dni niewoli, które lat kilkanaście życia zabrały człowiekowi, co miał odwagę cierpienia bez jęku, a nie potrafił pojąć, by chrześcianin odjął sobie życie dobrowolnie, i tak podle z placu boju uciekał. Nie, nie, dosyć i tak czarnych nici w téj plecionce naszéj, dosyć; a dla tych co celu obrazów nie dojrzą, pewnie nawet zanadto.

Znękany pracą i prędko łamiącą najpotężniejsze siły młodością, niewolą — nasz Nadbożanin, myślał już że mu przeznaczono skończyć życie na obcéj ziemi. Jak innym i jemu nareszcie przyszło, to rozpaczliwe przekonanie niemożności ucieczki i wykupu — nieprędko, po wyczerpaniu wszystkich oszukujących nadziei.

W tém z galery puszczony, sprzedany dostał się do Adrianopolu naprzód, potém znowu na Budżak, z wysłanym tam na dowództwo do Białogrodu Seraskierem. Nie było już ludzi, co by pamiętali dawną jego ucieczkę do Chadżi-Dere, nie strzeżono go nawet pilniéj nad innych, nie podejrzewając o myśl oswobodzenia; zwłaszcza że Seraskier lekką mu wyznaczył pracę i łagodnie z nim obchodzić się kazał, myśląc że moralnie traktowany, łatwo się da zbisurmanić.

W nim na widok miejsc bliższych już ojczyzny, zda się o krok tylko od niéj odległych, żywo zabiło serce. Niepomyślna uciecz-

ka piérwsza niezraziła go, zapragnął sprobować drugi raz, co raz już nie udało mu się. Ale teraz lepiéj osnuł swój plan i głębiéj nad nim pomyślał, nie chciał wspólników bo obawiał się zdrajców, ufając że sam sobie wystarczy.

Niepodobieństwo zbieżenia inaczéj za Liman, i przebycia go inaczéj jak po lodach, wstrzymało go do zimy. Dostał sobie strój tatarski, umiał języka tyle, że mógł ujść za Dżambułata, twarz ogorzała i zmieniona, nie wzbudzała podejrzenia. O konia nietrudno mu było. Tym czasem na pogranicze do Bałty wysyłano Agę, mającego tam leżeć na nieustannéj straży od Polski. Dziwnym trafem niewolnik Seraskiera dostał się w podarku jednemu Adze. To go zbliżyło jeszcze do ojczyzny, którą prawie z nowéj siedziby mógł widzić, mógł jéj powietrzem oddychać. Nie wzbudzał podejrzenia wcale, bo powiadał zawsze że jest z dalekiego kraju i na oko zdawał się godzić z swym losem.

Gdy przebywszy step pusty, aułami tylko Tatarów Jedyssańców po bałkach koczujących przecięty, gdy stanęli nad Kodymą, Nadbożanin ujrzał swoje rodzone Podole i zadrzał. Zginąć lub wrócić do kraju, rzekł w duchu, zginąć lub tam się dostać!

Bałta naówczas była mizerną turecką wioszczyną, z téj strony Kodymy, pod stopami gór rozciągnioną. Z przeciwnéj nie było jeszcze żadnéj osady i puste tylko gdzie niegdzie lasami obrosłe, wznosiły się wzgórza zielone. Znacznie późniéj dopiéro na pograniczu tém powstało miasteczko przeciw tureckiego zbudowane. Ale wówczas sami Turcy i Tatarzy zajmowali Bałtę, kilkanaście zniszczonych chałup w dolinie nad Kodymą. Kilka ośmioskrzydłowych wiatraków (zwyczajnych w Turcyi) jeden lichy gliną wylepiony minarecik i meczet słomą poszyty, dom Agi nieco porządniejszy, mizerny Bazar składały całe miasteczko, a raczéj osadę. Było to tylko stanowisko straży, zarówno dla bezpieczeństwa

od Polski, jak dla utrzymania Tatarów na wodzy, urządzone. Turcy bowiem w Budżaku, Tyhin i Akkerman; w *Uzu*, Oczaków i twierdzę Chadżi-Bejską trzymali; w Krymie zamki swoiém wojskiem i dowódzcami obsadzali. Tym sposobem zapewnili sobie władzę nad Tatarami i ciągłą na nich baczność mieć mogli.

Ujrzawszy się na pograniczu Podola, wązką tylko rzeczką oddzielonym od kraju swego, Nadbożanin uczuł także wezbranie gwałtownego pragnienia swobody, że długo wytrzymać i rozważnie do ucieczki przygotować się nie mógł. Nie jadł, nie spał dnie całe, gdy nie miał wyznaczonego zatrudnienia, siedział pod górą patrzając na polską stronę. A jednak gdy już się do ucieczki zabierał, pokazało się tysiąc nieprzewidzianych trudności. W nocy pilnowano go, w dzień niepodobna się było wyrwać; Aga sroższy od Seraskiera lubił swoich niewolników katować, i ciągle znęcać się nad niémi, ciągle ich mieć pod ręką. Rozpacz

zaczynała przejmować wygnańca. Jednéj nocy w pół nagi, bez przygotowania, postrzegłszy możność wymknienia się, wyłamał drewnianą kratę okna, przelazł mur podwórza, rzucił się w rzekę i puścił pędem w stronę rodzinną. Biegł dopóki mu sił stało, polami, lasy, rozdołami, bez spoczynku; ciągle się obawiał pogoni, ciągle ją słyszał za sobą; a piérwsza wieś którą zobaczył, piérwszy krzyż cerkwi, dojrzany w jarze, powitał padając na twarz bijąc czołem, płacząc jak dziecko.

Był na swojéj ziemi! swobodny!

Piękne Podole! ale dla tego, kto po kilkunastu leciach wygnania, niewoli, złamany, zgięty powraca do kraju w którym się urodził, jakże jeszcze stokroć piękniejsze! Jak żywo szlachcicowi przypomniało się wszystko ubiegłe. Piérwszy sen na ziemi swojéj ukazał mu znowu łódkę na Bohu, Annę na wałach zamku. Lecz gdzie ta nieodzyskana przeszłość!

Nie u wszystkich wiarę i politowanie znalazł

zbieg. Jedni głowami kiwali słysząc jego opowiadanie o ucieczce z tureckiéj osady, drudzy dość obojętnie przyjmowali ten wypadek; nikt mu o dawnych znajomych nic powiedzieć nie potrafił.

Odziany przez litościwą starą wdowę, zaopatrzony trochę na drogę, pośpieszył przez Tulczyn, gdzie naówczas licha mieścina pod skrzydłem zameczku obronnego wyciągała się ku Bracławiu i Winnicy. Kto teraz widział Podole, żyzne, kwitnące sadami, złotemi łany okryte, zasiane wsiami co się w stawach błyszczących przeglądają, nie może mieć wyobrażenia kraju w owych czasach, gdy sąsiedztwo tatarskie wystawiało go na ciągłe pożogi i wyludnienia. Lepianki w pół do ziemi przytulone stojące między opalonemi słupy starych popalonych domostw, ogorzałe drzewa, gdzie niegdzie kawał pola wydarty i zasiany, bez nadziei zbioru; wsie rzadkie, zameczki po wzgórzach nad wodą, a to wszystko lasami i zaroślami poprzecinane, taki był obraz pięknego Podola.

Kiedy od stepu wzniosły się chmary ptastwa, powiał wicher tumanami dymów, kiedy spodziewano się tatar w gości, naówczas cała ludność cisnęła się do zamków, w lasy i pieczary. Ale często i te ich nie potrafiły obronić od napastnika. Często ryk bydła, dym ogniska wydawał tajemne schronienie ludu, który napadniony niespodzianie w lesie, dymami wypędzony z pieczar, ginął na miejscu lub szedł w niewolę. Zamki tylko ostawały się zwykle, bo zamków rzadko napastowali Tatarzy, nie mając do tego ani czasu, ani ochoty walczyć.

Nadbożanin znalazł Podole swoje pięknem mimo śladów opustoszenia niedawnego, mimo pustych rozłogów szeroko się ciągnących i téj woni pustyni i pożaru, która długo cięży nad zwojowanym krajem. Ale idąc do swoich z sercem przepełnionem uczuciami, z pragnieniem znalezienia braci; okrutnie się zawiódł. Gdzie się spodziewał niejako rodzinę powitać,

zastał tylko obojętnych ludzi, co na niego z ciekawością lub nieufnością patrzali.

Sam obcy — między swemi, nigdzie ręki przyjacielskiej, nigdzie politowania, nigdzie radości.

Od dworu do dworu, od wioski do wioski wlokąc się, szlachcic o kiju przeszedł okolice Tulczyna, zobaczył stary Bracław i zapłakał nad Bohem, który mu przypomniał młodość. Boh płynął jak dawniéj, wiosna kwitła nad nim, ludzie tylko się zmienili, zdrętwieli. Napróżno rozpytywał o Annę, o swoją słobodę, nikt mu nic powiedzieć o nich nie umiał, poszedł daléj. Biło a biło mu serce, gdy ujrzał na pagórku nad Bohem białe mury grodu, któren znał tak dobrze. Był ranek, dzwony na ranne nabożeństwo wołały, gdy wychodząc z zarośli, stanął przeciw promu wiodącego Bohem do Winnicy. Tu bardziéj jeszcze wzruszony niż kiedykolwiek, wszedł w miasto, a otwarty znalazłszy kościół, powlókł się do niego i upadł na kolana w kruchcie. Patrzał na prze-

chodzących i jednéj znajoméj twarzy! nikogo. Poglądano nań z podziwieniem zimném, z ciekawością obojętną. Prawie bezprzytomny z wychodzącemi z kościoła się wytoczył, stanął, obejrzał, przypomniał znajomego i rozpytawszy o jego mieszkanie, poszedł. Nie było go w domu.

Drugi przyjął go, wysłuchał, płakał nawet; ale widząc tak odartym, tak biédnym prędko uszedł, lękając się, aby nie wymagał pomocy. Coraz bardziéj zrozpaczony, nie ociągając się już dłużéj w mieście, brzegiem Bohu poszedł do swojéj słobody; sto razy zastanawiał się w znajomych a tak mało zmienionych miejscach.

Nareszcie ujrzał zameczek i usiadł na ziemi, bo nie miał odwagi pytać, zbliżyć się; tak żywo teraz nie powrótna przypomniała mu się przeszłość. Po długiéj walce z sobą, stanął u wrot jego.

Nic a nic się tu nie zmieniło, tylko drzewa trochę podrosły, tylko mury się poryso-

wały, tylko chmiele gęściej okrywały palisady, trawa bujniejsza rosła na wałach. Zdaje się, wczoraj dopiéro stąd wyszedł.

Ale zameczek stał pusty, załoga w nim nieliczna. Spytał o Księżnę, nikt mu o niéj powiedzieć nie umiał: jedni utrzymywali że była na Rusi, drudzy że w Krakowie, a mówili o niéj z pewną jakąś niespokojnością, wahaniem. Poszedł spojrzeć na wały, na wiśniowe drzewa wyglądające ku rzece gdzie stawała Anna, a potém z sercem rozdartém puścić się ku swojéj słobodzie.

Któż nie wie jak łatwo jak mocno serce się przywiązuje do kawałka ziemi, któren człowiek nazywał swoim? Cóż dopiéro gdy po długiém oddaleniu, po przebytych nieszczęściach, znowu się do niego dostanie. W gaju nie opodal od Bohu, na pagórku, stała słobódka szlachcica. I tu żadnéj, żadnéj zmiany! Postrzegł wśród gęstych drzew za dąbrową, swój domek biały, z słomiannym dachem z otaczającą go pasieką, z przytykającym doń ogrodem.

Wszystko jak dawniéj, jakby od wczora dopiéro rzucone.

Przez otwarte na pole wiéśnice, u których siedziała mała dziewczynka, wszedł w dziedziniec. Któż nie pamięta w Homerowych śpiewach, tego cudnego miejsca, gdy Ulisses nie poznany od wszystkich, przez wszystkich zaparty; od psa tylko starego za pana uznany zostaje, od starego psa konającego na śmietniku. O! często wierny stary pies zawstydza ludzi pamięcią i wdzięcznością. Ale tu i psa nie było co by poznał dawnego pana.

Brzuchaty szlachcic w białym kitlu płóciennym, w kapeluszu słomianym siedział na ławce w ganku, psy rzuciły się na podróżnego, odwołano je. On płakał i płacząc usiadł na wschodach; napróżno oczy zwracał na przechodzących, na gromadzących się w koło, nikogo znajomego.

— Jakto? więc, rzekł w rozpaczy, nikogo! nikogo, co by mnie poznał! nikogo co by powitał pana.

— Pana! hę? zawołał szlachcic wstając jak to pana? hę? albo co?

— Piętnaście lat temu, ozwał się przybyły poszliśmy na tatar z Księciem Sołomereckim, ciężką przebyłem u niewiernych niewolę! A za powrotém nawet jednéj twarzy znajoméj, jednéj ręki przyjaznéj co by moją dłoń uścisnęła!

— Byłbyś więc WaćPan—,spytał szlachcic.

— Nie pamiętacie Czuryły? rzekł do otaczających oswobodzony.

Wieśniacy i słudzy popatrzali się na siebie, poszeptali, pokiwali głowami.

— Piętnaście lat! to kawałek czasu.

— Nié ma więc nikogo?

— Już to po trochu wszyscy przypominamy, ale poznać —

— To nie on, rzekł ktoś z tłumu.

— Trzeba Marty zawołać.

A Marta była dawniéj gospodynią w słobodzie, ale teraz tak zestarzała, oślepła że się z chaty swoich wnuków już nie wywlokała.

Szlachcic ruszał ramiony stojąc w ganku, widocznie niespokojny; nadeszła żona jego, dwoje małych dzieci, dworscy. Otoczyli wszyscy biédaka, różnie się i dziwując i wątpiąc o prawdzie jego opowiadania.

— A mój brat? spytał Czuryło.

— A! brat! to to brat, pan Wencesław!

— Brat mój, co się z nim stało?

— A umarł, odrzekł spokojnie szlachcic i właśnie po nim okupiłem ten kawałek ziemi.

Czuryło zamyślił się gorzko.

— I jeśli myślicie processować, dodał łykając niespokojnie ślinę nowy dziedzic.

— O! bądźcie o to spokojni, odparł Czuryło, nié mam ani woli, ani sposobu do tego. Chciałem tylko zobaczyć słobodę moją i pójdę daléj.

— Dokąd? rzekł cicho szlachcic, zawsze niespokojny.

— W świat, przed siebie.

Nim starą Martę przywiedli, żona szlach-

cica podała pić i jeść Czuryle; ale głodnemu i spragnionemu innego pokarmu było potrzeba. Przyszła naostatek staruszka, wiedziona przez odarte wnuczątko, kijem się podpierając i coś marmocząc pod nosem.

Czuryło wstał.

— O! ona mnie nie pozna! ona ślepa.

— Czyj to głos? spytała zastanawiając się Marta.

— Marto Wołynko, zawołał Czuryło, nie przypomnisz sobie dawnego pana?

— To Czuryło! podnosząc nagle głowę zakrzyczała ślepa. To on! głos jego. A skąd wy paneczku?

— Z niewoli tatarskiéj!

— Na krzyż pański, piętnaście lat, i oczy moje zgasłe już cię nie zobaczą, ale cię poznałam, poznałam po głosie. To ty dobry paneczku.

I rozpłakała się. Szlachcic gryząc wąsy stał w ganku ciągle, poglądał na żonę kręcił głową niespokojnie.

— Gdzie Marcjan twój syn?

— Siedzi w pasiece.

— On mnie pozna, zawołał dawny dziedzic, ja go rozpytam, pozwólcie przyjść Marcjanowi.

Dość nie rad całemu wypadkowi posłał szlachcic po Marcjana, który o kuli się przywlókł z pasieki, porzuciwszy swój warsztat tkacki. Do razu poznał, przypomniał pana i padł mu do nóg, poczęli oba płakać przypominając sobie dawne czasy.

Pozwolono przenocować w kuchni panu Czuryle, a nowy dziedzic widocznie nie rad przybycia dawnego dziedzica, dał mu dość wyraźnie do zrozumienia, że rad by go wyprawić co najprędzéj.

Sam też Czuryło nie myślał tu bawić, a że przed wyprawą, zakopał był w ogrodzie nieco grosza, chciał tylko swoje dobyć i iść daléj, pilnowano go jednak nie wiadomo dla czego tak ściśle, że do ogrodu w nocy wyjść nie mógł. Nazajutrz obdarzywszy, pozbył się niemiłego gościa szlachcic, który całą noc

spędził w nieprzyjemnych przecuciach processu, nie wiem dla czego, tak mu strasznego.

Pan Czuryło poszedł do pasieki do Marcijana i pozostał tam dzień następujący, a w nocy z pomocą pasiecznika wdrapał się do ogrodu, gdzie pod bzowemi krzaki, zakopany był jego garnek i butelka. W garnku nie tknięte pieniądze, w butelce zasmolonéj papiery swoje znalazł; a nagrodziwszy poczciwemu wieśniakowi, puścił się w dalszą drogę.

Dopytawszy o Sołomereckich, że ich na Rusi wołyńskiéj szukać należało, ciągnął tam. Ale i tu księżnéj nie było. Słyszał tylko o prześladowaniu jakiemu uległa, o dziecku które znikło i o wyjeździe jéj do Krakowa.

Poszedł do Krakowa. Po drodze opowiadając się jako *Litownik* (tak zwano więźniów z niewoli wyzwolonych) przyjmowany mniéj więcéj litościwie wszędzie żebrał, zostawując swój grosz na nieprzewidziany raz.

Oprócz swoich papierów dobytych na słobodzie, niósł także, powierzone na galerze pa-

piery owego księdza zmarłego w Stambule, których nie miał czasu i ciekawości przepatrywać, obiecując sobie w Krakowie dowiedzieć o rodzinę, dla której służyły.

Przybył do Krakowa Czuryło i opiewiedziawszy się wedle zwyczaju w gospodzie Bractwa Miłosierdzia, jako Litownik, z łańcucha okruchem, począł ulice stolicy przebiegać.

Nie potrzebujemy dodawać, że żebrak spotkany u drzwi Księcia, przez Annę przesiedujący koło jéj domu, był Czuryło.

Odarty, zmieniony, zawsze się spodziewał że prędzéj późniéj poznany zostanie.

Napróżno! Sam się nastręczać i przypominać wzdragając; czekał, ale Księżna sobą i dzieckiem zajęta, czy zapomniała Nadbożanina, czy tak był zmieniony, zdawała się nic sobie nie przypominać.

Była i druga osoba w Krakowie, do któréj napróżno także zbliżał się oswobodzony. Stary Czuryło, kilka razy rzucił mu jałmużnę z westchnieniem, nic więcéj. A jednak był to syn

jego, ale syn którego starzec dawno się zaparł, o którym zapomniał; syn urodzony wkrótce po ślubie, słabe dziecie siedmio-miesięczne, nieuznane przez ojca, opłakane przez niewinną matkę, przypłacone jéj życiem.

Drugi raz potém żonaty, stary Czuryło, drugiego miał syna, na niego zlał całe przywiązanie, ale śmierć nie tylko jego, ale z nim i wnuki mu odjęła. Pozostał sam jeden, nie raz już w tém osieroceniu wspominając coraz częściéj piérwsze dziecie odrzucone, odepchnięte i jak sądził przepadłe w boju. Towarzysze bowiem wyprawy Sołomereckiego, opowiadali że Czuryło zginął mężnie się potykając.

Boleśnie było wracającemu do kraju, nikogo w nim dla siebie nie znaleść, ale boleśniéj jeszcze ocierać się codzień o dom Anny, co go nie poznała, o ojca, który go zapomniał. Długo walczył z sobą, ale przemógł smutek dręczący, potrzeba odzyskania swoich. Już miał się dać poznać ojcu, gdy wypadkiem znajdu-

jąc się nie daleko gospody, gdzie umawiano się o porwanie młodego Sołomereckiego, zdało mu się, że ojciec należał także do spisku.

Bez wahania oznajmił o tém Księżnie, ale strapiony odkryciem, nie zbliżył się do ojca.

Jałmużną żyjąc, dnie całe pod domem Anny z oczyma w okna jéj wlepionemi siedząc, pędził tak długie smutne Czuryło, Ani nadziei, ani nadziei być poznanym! Kilka razy mówił z Anną, ona patrzała na niego i nic jéj, ani głos, ani twarz nie przypomniała, dawniéj tak dobrze znanego człowieka.

W takiém położeniu rozpacz by porwała była każdego; i w końcu ścisnęła téż serce znękanego, który nie tłumacząc sobie co z tego wyniknąć może, i jak ostatek nadziei utracić łatwo, jednego wieczora, wcisnął się w uliczkę na któréj mieszkał ojciec jego.

W pobliżu kościoła, stary Czuryło obrał był sobie ubogie mieszkanie, w którém sam jeden czas pędził. Jedną stronę nie wielkiego domu

zajmowali gospodarze u których się stołował, drugą, dwie izdebki, stary.

Największy porządek panował w tych małych, wybielonych, wymytych i zawsze świéżych komnatkach. Okna ich błyszczały jasnemi szyby, podłogi wysypane świéżym piaskiem żółtym, ściany wytarte z najlżéjszego pyłu. W piérwszéj izdebce piec zielony z przypieckiem do siedzenia ciepłego, kilka krzesł skórą obitych, ława szeroka z kilimkiem, stół na nogach wykręcanych, zegar w kącie, krucyfiks na oknie, obraz Najświętszéj Panny Częstochowskiéj na ścianie. W drugiéj mniejszéj łóżko księże, wązkie, twarde, skrzynia okuta żelazem, szabla z gromnicą i wiankiem święconym nad głowami na makacie, stara rusznica w kącie, torba borsucza na kołku, książka od nabożeństwa u łóżka. A każdy sprzęt tak czysty, tak starty, świécący, jak by nowy i wczoraj dopiéro postawiony; na starych nieznać zużycia, nie widać wieku; każda rzecz w swojém miejscu nieodmiennie, nieporuszenie.

I życie starca jak jego mieszkanie jednostajne, metodyczne, dniem do dnia podobne.

Zbliżając się do domu, w którym miał się jeden z najważniejszych wypadków życia rozstrzygnąć, żebrak na chwilę tylko zaląkł się, zapragnął stanowczą chwilę oddalić, potém nabrał odwagi i posunął ku wejściu.

Pana Czuryły nie było, wedle zwyczaju modlił się jeszcze w blizkim kościele. Żebrak usiadł na wschodach, oczekiwał nań. Około południa ujrzał zmierzającego z namarszczoną brwią ku domowi. Zbliżając się postrzegł stary siedzącego żebraka, wlepił weń oczy i dobywszy kaletki, pośpieszył rzucić grosz.

Litownik powstał brząkając łańcuchem, podziękował, ale nieustąpił.

— Idź z Bogiem, rzekł mu Czuryło.

— Nie za jałmużną przyszedłem do was odpowiedział żebrak.

Siwe brwi starca namarszczyły się.

— Czegoż chcesz? spytał.

— Pozwólcie mi wejść?

Zastanowił się chwilę ojciec, dobył klucza na rzemyku i toczonym wałeczku uczepionego; otworzył powoli mieszkanie i zimno rzekł wprowadzając Litownika.

— Otrzyj nogi na słomiance.

Te słowa w takiéj chwili ścisnęły za serce nieszczęśliwego. Zachwiał się, opar o drzwi, stał w milczeniu.

— No, mów że czego chcesz? rzekł Czuryło stawiając laskę na miejscu zwyczajném, wieszając czapkę na przeznaczonym jéj kołku.

Syn nie wiedział jak począć.

— Spokojne życie! spokojne! szepnął po chwili, powiedzcie mi panie Łowczy nigdy wam —

— Skąd wiesz o mnie? zapytał niespokojnie stary.

— Skąd! Dawno, dawno was znam.

— Ty! mnie! Jak się zowiesz?

— Dowiecie się. Ale powiedzcie mi wprzód, czy w tém spokojném życiu, nigdy, nigdy,

nie przychodzi wam, zgryzota do serca, ciężkie jakie na głowę wspomnienie?

— Co ma znaczyć to pytanie? zawołał ostro i po swojemu chmurząc się stary, dziwnie bowiem uderzyło go to pytanie, które przypadkiem trafiało na ranę ukrytą. Czuryło na wspomnienie zimy i piérwszego syna, doznawał nie raz niepokoju duszy, uznawał się względem nich winnym, a przywodząc na pamięć anielską łagodność, dobroć, niewinność dziecinną kobiéty, któréj struł życie popędliwém i nie usprawiedliwioném podejrzeniem, bolał nad przeszłością.

— Co ma znaczyć to pytanie? powtórzył.

— Nigdy nie pożałowałeś Heleny i jéj syna?

— Heleny! jéj syna, wykrzyknął starzec odchodząc od przytomności. Co to jest? co to jest? Ktoś ty?

— Kto? widzisz, biédny człowiek, co lat wiele wycierpiał w niewoli, co ostatek życia na swoją przywlókł ziemię.

— Skąd wiesz? Kto ci powiedział? Dla czego? Starzec gubił się w domysłach dziwnych, nie mogąc wpaść na jedyny prawdziwy.

— Kto jestem? odpowiedział Litownik, syn Heleny.

— Syn Heleny, o Boże, mój syn! zawołał starzec. Lecz w téj chwili gdy się miał rzucić już ku niemu, ta myśl stara, to podejrzenie zabójcze o niewierności żony, znowu go oburzyło. Cofnął się, schmurzył.

— Wiedziałem że tak mnie powitasz, ojcze. Ale starzec walczył i zwalczył uczucie, niegodne siebie, rzucił się ku synowi, wołając.

— Przebacz mi! przebacz!

— Niech ona przebaczy, ja nic nié mam do darowania ci ojcze!

O! słodki był uścisk ojcowski dla wygnańca, co lat kilkanaście, nie kosztował uścisku żadnego, nie słyszał słowa przyjaźni, przywiązania.

Wnet stary usadowił syna i zaprzątnął się nim, a choć chwilami jeszcze nie wygasłe

uczucie jadło mu serce, mógł już je zwalczyć, zwyciężył.

Długie opowiadanie wypadków wyżéj opisanych, zajęło dnia resztę. Stary Czuryło płakał, rzucał się i klął niewiernych, noc zastała ich jeszcze rozmawiających.

— Ojcze mój, rzekł nareszcie syn, dla czego powiedz mi należałeś do porwania syna księżnéj.

— Ja? niespokojnie marszcząc się zawołał stary, ja? Kto ci to powiedział?

— Widziałem cię umawiającego się.

Czuryło widocznie się pomięszał.

— Ani słowa o tém, rzekł, późniéj wszystko się wytłumaczy, wyjaśni.

Gdy to mówił syn, widział na twarzy starca, taki niepokój, takę trwogę, że najdziksze podejrzenia, przeszły mu po głowie.

— Wszystko się wyświeci, dodał Czuryło, a teraz nie pytaj.

I zwrócił rozmowę, ale resztę wieczora, widoczna dręczyła go niespokojność.

Nazajutrz zrzucił nareszcie odzienie żebraka i łańcuch Litownika oswobodzony. Skromne szlacheckie odzienie zastąpiło łachmany.

Nowa suknia zmieniła go zupełnie i pomimo nie zatartych śladów, które na wieki zostawia cierpienie, Czuryło ukazał się w niéj czém był: średniego wieku, ogorzałym, z wpadłemi oczyma i policzki, mężczyzną — postawy szlachetnéj, miny trochę dumnéj.

— Czy pozna mnie choć teraz? mówił do siebie, czy pozna?

— Moje dziecko, rzekł stary wzdychając, nié ma niewdzięczniejszéj pamięci nad kobiécą, niewierniejszéj nad książęcą, nie spodziewaj się tego!

Opalone lice oswobodzonego pobladło, ale nic nie rzekł na to.

Nazajutrz zrzucił nareszcie odzienie żebraka i łańcuch Litwinika oswobodzony. Skromne szlacheckie odzienie zastąpiło łachmany.

Nowa sukmia zmieniła go zupełnie i pomimo nie zatartych śladów, które na wieki zostawia cierpienie, Czaryło ukazał się w niéj czém był: średniego wieku, ogorzałym, z wpadłemi oczyma i policzki, mężczyzną — postawy szlachetnéj, miny trochę dumnéj.

— Czy pozna mnie choć teraz? mówił do siebie, czy pozna?

— Moje dziecko, rzekł stary wzdychając, nie ma niewdzięczniejszéj pamięci nad kobiécą, niewierniejszéj nad książęcą, nie spodziewaj się tego!

Opalone lice oswobodzonego pobladło, ale nic nie rzekł na to.

GŁÓD I MÓR.

III.

Rankiem wiosennym pięciu podróżnych zbliżali się ku Wilnu. Było to w r. 1572, w chwili właśnie, gdy litewska stolica ledwie po strasznym morze i głodzie, przychodzić do siebie zaczynała.

Powietrze które z niéj wygnało Zygmunta Augusta w roku przeszłym; jeszcze, słabe wprawdzie i zmniejszone grassowało. Okro-

pna ta klęska zostawiła po sobie długo nie zatarte ślady i dłuższą jeszcze straszliwą pamięć kary Bożéj. Świetne Wilno Augustowe, to miejsce zwane roskoszy jego kuźnią, tyle pamiętne sercu, okryte było żałobą.

Przed rokiem jeszcze żyło ono, życiem ulubieńców Królewskich: wesołe, jasne, huczne, ludne, bo do stu tysięcy mieszkańców liczące. Zewsząd napływali don rzemieślnicy, szlachta, panowie, zbiegali się ludzie, chcący swobodnie zarobić na życie. Od lat wielu opuszczone już przez poprzedników Zygmunta dla Krakowa, za młodości jego pobytem Augusta ożywione naprzód zostało. Tu mieszkał on krótko z Elżbietą, tu poznał Barbarę, tu spędził krótkie szczęście swoje, tu ją pochował wołając, że niewdzięczna Polska, kości jéj mieć nie będzie!

Pamiątki przywiązały go do tego miasta na zawsze, Wilno odtąd stało mu się ulubionym pobytem, ukochaném schronieniem. O krok od zamku był grób Barbary, a choć wesele

brzmiało nie raz na Krzywym grodzie, przebijać je musiało wspomnienie dwóch zmarłych kobiét; zawsze przytomnych pamięci królewskiéj.

Za panowania Augusta czarodziejsko wzniosła się Litwy stolica. Zamek opuszczony na Swintoroha, rozszerzył się, zajął domy sąsiednie i wystarczyć nie mógł mieszkańcom. Do niego przylgnęły puszkarnie, obok poczęły się wznosić mury kościoła nowego Ś. Barbary, przeznaczonego na grób Elżbiecie i Radziwiłłownie. Zamek dolny więcéj naówczas obszernością swoją niż wspaniałością zastanawiał. Kilka ogromnych dziedzińców otoczonych gmachami o trzech, dwóch i jedném piętrze zalegały przestrzeń wielką, łącząc się z katedralnym kościołem, z górnym zamkiem i zamkową ulicą. Po nad dachy Krzywego grodu wystawała wysoko latarnia na wieżycy, świecąca żeglującym na Wilii; straszna góra z arsenałem i gruzami kościoła Ś. Marcina stanowiła tło obrazu. Daléj ciemniały wzgórze Trzykrzyżskie i zarośla Antokolla.

Wielkie komnaty zamkowe, teraz już stały pustką, dwór z nich uciekł, kilkunastu sług i straży pilnowali tylko zamku. Nic w nim wewnątrz uderzającego, prócz biblioteki królewskiéj i *czarnéj sali*. *Czarna sala* o któréj pisze Górnicki, na pamiątkę zapewne żalu po stracie Barbary pociągniona suknem tego koloru, była upodobaném Augustowi mieszkaniem, jak czarna suknia, upodobanym jego ubiorem. Któż nie widzi porównywając to, z jego ostatnich lat rozpustą, że rozpacz niepohamowana wpędziła go w tę przepaść, dała na ręce *Sokołom* (tak zwał kobiéty) i skróciła mu życie. W czarnéj sali za całą ozdobę były dwa obrazy, portret Elżbiety i Barbary, naprzeciw siebie. Obie młode, obie z uśmiechem słodkim, obie smutnego oblicza, obie zgasłe bez czasu, obie zabite ręką Bony.

Teraz i Biblioteka i *Czarna sala* i ulubione puszkarnie Augusta — wszystko pustowało.

Bo pustką było Wilno całe.

Niedawno żywe ulice, rynek, przedmieścia

stolicy, która odznaczała się tém między miasty polsko-litewskiemi, że w niéj najrozmaitsza ukazywała się ludność, martwe stały. Dom kupców Ruskich, kupców Niemieckich, sklepy Ormian i Turków, kramy żydowstwa zaparte żelaznemi drągi, zamknięte. Na Ratuszu kilku tylko Burmistrzów, we wrotach bezsilne straże. Rok temu nazad widziałeś tu najdziwniejsze twarze, najosobliwsze stroje, turków, ormian, greków, tatarów, żydów, rusinów, polaków, litwę; wszystkie wyznania i wiary ocierały się o siebie. Piątek muzułmanie, sobotę izraelici, niedzielę chrześcijanie święcili; wszystkie języki sąsiednich krajów mogłeś usłyszeć w mieście, teraz cicho, cicho i ledwie kiedy niekiedy dzwon kościelny, woła na modlitwę pozostałych i powróconych miastu mieszkańców.

Podróżni wjeżdżający od ostréj Bramy, zatrzymani zostali przez straż naprzód, która pod przewodnictwem Burmistrza rozpatrzyła ich papiery, dla dojścia czy nie jechali z zapo-

wietrzonego miejsca. Chociaż Wilno zniszczone już było przez mór, lękano się jeszcze powrotu jego i wznowienia z nową siłą. Przebywszy wrota w których paliła się przed obrazem okiennicami zamkniętym lampa, podróżni wjechali w ulicę. Straszny i dziwny obraz, oczy ich uderzył. Domy zdawały się nie zamieszkane, wrota ich pozamykane, okiennice dolnych piątr zaparte. Gdzie niegdzie wyłamane drzwi, wybite zapory, ukazywały ruinę i zniszczenie wewnątrz, jakby po świeżym rabunku; rozrzucone tam i sam sprzęty pokruszone leżały. W śród ulic, pod gankami kamienie, wygasłe ogniska obrzucone kośćmi zastygły zostawiwszy na murach sąsiednich czarne okopcone po sobie ślady. Kupy śmiecia, brudów, słomy i kałuże błotniste zawalały przejazd.

Z wzdrgnieniem cofnęli się podróżni, przed trupami. Nie można bowiem było wszystkich posprzątać i leżały dotąd, nagie, sine, konwulsyjnie pokurczone ciała, pomarłych z po-

wietrza i głodu. Niektóre poczwarnie chude zdały się skeletami; bo napróżno głodne tłumy ludu który się rzucił z okolic przebojem na Wilno, sądząc że się tu wykarmi; — napróżno żarły ścierwa, gryzły kości i korę drzew, niedostek był taki, że wszyscy prawie wymarli. Mór dokonywał tego, co głód nieprzeżył. Mieszczanie, urzędnicy, duchowni, zakonnicy nawet, musieli uciekać z miasta, a na ich miejsce nagie, rozpasane rozpaczą, wpadły chmury błąkających się po kraju ogłodzonych. W jednéj chwili puste domy były odbite, co w nich znaleziono wywleczone, spalone dla ogrzania, zgryzione zębami konających. Po pustych podwórzach widziano kupy upojonych głodem ludzi, w około ogniów na których płonęły drogie sprzęty i bogate szaty. Jedni oszaleli, skakali i krzyczeli, drudzy konali w boleściach, deptani nieludzko, inni śmieli się sami do siebie i zbliżającéj śmierci.

Ale wkrótce wrzawa grobowa ludu napły-

wającego do Wilna, ustawać poczęła, głód się powiększył, mór wzmógł, trupy secinami zawalały ulice, domy, podwórza, krużganki kościołów, smętarze. Codziennie wozy ogromne wyrzucały za bramy trupów, codziennie było ich pełno, codzień mniéj ludu, który się rozpierzchał lub wymiérał. Nareszcie puste zostało Wilno. Gdy nasi podróżni zajechali tu, już tylko reszty moru dogorywały, a grobowa cisza zastąpiła piekielne wrzaski. Ale ślady świéżéj przeszłości, były żywe jeszcze. Te ciała zmarłych opowiadały straszliwą historją klęski, co kilkadziesiąt tysięcy ludu zniszczyła. Tam matka tuląca dziecię do piersi i w uścisku skośniała, tam starzec zębami trzymający drzewo, które chciał gryść w głodnéj rozpaczy, tam bój dwóch szalonych o ogryzek kości, skonczony śmiercią obudwu.

W obliczu niebezpieczeństwa tego, nie było kto by śmiał z nim walczyć lub tamę położyć myślał. Jeden, jeden tylko brat zakonu świéżo wprowadzonego do Wilna na walkę z re-

formą, jezuita Łukasz Krassowski, pozostał ratować dusze, gdy ciał nie było można. Słuchając spowiedzi zapowietrzonych nędzarzy, sam się zaraził i umarł. Męczennik! Gdy mór ustawać począł i lud zalewający miasto śmierć wyżarła, powrócili wylęknieni urzędnicy i nieco porządku. Ale ludność rozbiegła i handel nie ośmieliły się jeszcze zajrzeć do miasta.

Wielka też to była murów pustynia. Kościoły w większéj części zaparte, Ratusz milczący, rynek pusty, tam i sam szczątki pożarów, zniszczeń, ślady śmierci. A środkiem ulic powolnie wlekące się wozy, pełne trupa.

Mniéj daleko straszny jest plac boju. Tam wrzawa przynajmniéj, tam życie jeszcze obok zgonu i zniszczenia, tam zapał i siła, tu cisza przeraźliwa zapowiadająca zda się koniec świata.

Pobledli podróżni przebiegając ulicę wiodącą od Ostrych Wrót ku zamkowi. Wszędzie jedno a coraz tylko odmiennie się przedsta-

wiając ich spotykało. Zniszczenie i śmierć. Wywabione koni tententem, kilka głów wyjrzały z okien ukradkami z postrachem i skryły się prędko. Ś. Jański kościół i naprzeciw niego stojący zbór ewangelicki oba były puste. Im bliżéj zamku tém mniéj spotykali trupów i wypalonych domostw. Tu zda się jakieś jeszcze poszanowanie, czy straż pilniejsza przystępu broniła, pusto tylko było. Z domu Halabartników wyglądały kilka wychudłych, zżółkłych przerażeniem twarzy strażników.

— Co za klęska! jakie zmiany! zawołał jeden z podróżnych. Trudno poznać to przed chwilą jeszcze tak żywe, tak ludne, tak piękne miasto.

Młody chłopak jadący z cztérema innemi odwracał oczy.

— Przerażające ślady zniszczenia!

— Żywéj duszy po domach, kościoły zamknięte. Widzicie ten stos przypartych do ścia-

ny i do siebie zapewne dla rozgrzania się ludzi. Wszyscy pomarli!

— To ludność wileńska? spytał chłopiec.

— Nie, odparł jeden z towarzyszących mu, to zbiegli z całego kraju ogłodzeni, co tu ratunku szukali, a śmierć znaleźli. Byłem jeszcze w Wilnie, gdy mór się poczynał, wszyscy kupcy i mieszczanie, oprócz najuboższego tłumu żydowstwa, pouciekali z miasta.

— Zastaną pustkę i domy zrabowane.

— Któż to myślał o rabunku? komu się mógł on przydać?

— O! zawsze się znajdą chciwi, nawet godziną przed skonaniem; a wielu też nie o zbogacenie, ale o ogrzanie tylko chodziło. Biédni palili księgami! rzekł wskazując na niedogaski stosu.

W milczeniu posuwali się daléj.

— Ale nié masz że już niebezpieczeństwa? spytał chłopak.

— Nie, nié ma, lud wymarł, a lud to go z głodem i sobą przyniósł. Niestało go, po-

wróci da Bóg życie. Macie w tém dowód, kiedy pan Wojewoda Narewski (podlaski) do Wilna się udał. Nie jechał by bez potrzeby w ogień.

— Zapewne, dodał drugi, kiedy o nim posłyszą i drudzy powrócą.

— Już i Burmistrzowie po bramach i zmarłych przecie zwożą karami na przedmieścia i gdzie niegdzie taki człek żywy się pokaże, a powiadają, że prócz tłumu tego co wymarło wprzódy nikogo niebyło.

— Księża nawet wyjechali, dodał drugi.

W tém się zastanowili u wrót zamkowych, z których blady, drzący, nie młody już mężczyzna, bojaźliwie przeciw nim wystąpił.

— A skąd to Pan Bóg prowadzi?

— Z Krakowa!

— Ho! a zdrowi tam?

— Wszędzie dzięki Bogu, prócz w Wilnie.

— Straszna klęska, odpowiedział wrotny ledwie tę klęskę przebyłem. Co za życie,co za życie!

— I Bóg was uchował?

— Cudem! cudem! A co oczy moje widziały, tego żaden język niewypowie.

Podróżni zatrzymali się.

— Toście tylko zapewne widzieli co i my po ulicach.

— A! to tylko ostatki! wzdychając rzekł wrotny. Z wierzchołka wrót, drżący, co chwila obawiając się napaści, ukrywając się od oczu, poglądałem kilka miesięcy, a mnie się zdaje że wieków kilka, na te nieopisane okropności.

— Czémżeście żyli?

— Trochą sucharów, odrobiną wody, którą po kilku tygodni zmienić nie było można. Bo jak wyjść? Rozszarpano by! A potém zaraza! Zdawało się że to nie ludzie ale dzikie zwierzęta, bez pamięci na Boga, na siebie, na śmierć! Nie było rodziny, nie było przyjaźni, był głód tylko. Jeden anioł w czarnéj sukni na tysiące szatanów.

— Co za anioł? spytał chłopiec.

— Ksiądz! nowego zakonu, on chodził z wodą, z chlebem i Bożém ciałem, od gromady do gromady. A często chwytano go, szarpano, wywracano, bito; często o bochenek suchy walczyły całe seciny ludzi, rozbijając się, goniąc z wrzaskiem po ulicach. Z wierzchu mojéj bramy, poglądałem na to drząc, zdawało mi się, że nie podobna abym widok taki, mógł przeżyć. A teraz gdy się wszystko dzięki Bogu skonczyło, jeszcze gdy zasnę, słyszę te wrzaski pospólstwa, widzę te łuny pożarów. Ciężkie to brzemię na starą głowę, takie wspomnienie, dodał wzdychając, można rozum utracić.

Podróżni posunęli się daléj, ale ich wrotny pytać począł.

— A Król Jegomość?

— Był w Tykocinie, w Knyszynie teraz.

— Zdrów?

— Jak zawsze.

— Niech go Bóg chowa. Dokądże jedziecie?

— Na Antokol.

— Do kogo? tam tak pusto jak tu?

— Wojewoda Narewski Sapieha, przybył do swego pałacu i zajął go.

— Już? zaprawdę odważny.

— A na zamku? nikogo?

— O! było nas dosyć, ale jedni powymierali, drudzy poszaleli i pouciekali ze strachu, teraz powoli przybywają, będą się potém przechwalali, jakby dotrzymali placu. A dalipan, rzekł stary wrotny zamkowy, łatwiéj w boju dotrzymać niż w takim ukropie. Przecież dzięki Bogu, ludzkie twarze już się pokazują!

To mówiąc wszedł nazad, widząc oddalających się podróżnych. Ci posunęli się daléj po nad Wilją ku Antokolowi. Na Łabędzim ostrowiu nie było łabędzi Augustowych, głodni je pochwytali, w Zwierzyńcu na Wierszupce zabity zwierz wszystek; wszędzie ślady przejścia tego potoku morowego, niedogarki ognisk, barłogi opuszczone, kości białe. Okolica spustoszona jak po srogiéj wojnie. Szopka w któréj starodawny kościół Ś. Piotra się

mieścił z krzyżykiem na dachu, oszczędzona przecie jako miejsce święte, plebanja zaparta, bo proboszcz wyniósł się do Niemęczyna.

W drzewach za kościołem i plebanją ujrzeli podróżni nasi murowany dom Wojewody Podlaskiego Fryderyka Sapiehy. Ale nim się do niego dostali, zastanowili naprzeciw kościołka i starszy rzekł do chłopięcia.

— Wiecie, dla czegośmy was wywiedli z Krakowa i wierzycie nareszcie, że P. Czuryło, i my z nim wespół czyniący, nie jesteśmy zausznikami nieprzyjaciela, ale obrońcami waszemi?

— Tak jest, wiem, wierzę — dziękuję, odparł Staś Sołomerecki, (on to był bowiem), ale powiedzcie mi proszę; dla czegoż matka moja o tém nie wie, czemu to nie z jéj wolą, czemu pisać nawet?....

— Mości Książe, odrzekł starszy, lękając się o was, matka gotowa była wyrzec się wszystkiego dla ocalenia. Gdyby wiedziała gdzie jesteście, postrach mógłby ją zmusić

do wydania tajemnicy. Lepiéj żeby opłakawszy chwilę, mogła się później bezpieczeństwem pocieszyć. Dla niéj to zarówno jak dla was uczyniono.

Widzicie że w takim razie tajemnica jest konieczną, tajemnica to nawet na dworze Sapiehy.

— Ależ sam Wojewoda?

— Sam Wojewoda o wszystkiém wiedzieć musi, dodał starszy, to konieczne, ale nikt więcéj. Będziecie nosić imię obce nieznane, I tu zdaje się Sołomerecki wyszukać was nie potrafi i gdyby nawet znalazł, opieka okryje was silna.

— Lecz czy zechce?

— Mamy silne listy instancjonalne. Tymczasem posłane prośby do Rzymu, będą miały czas wrócić zrezolwowane; a wy nauczycie się tu rycerskiego rzemiosła przy znakomitym mężu, który szablą i piórem służył krajowi.

— Jedźmy, rzekł drugi.

— Pamiętajcie, dorzucił starszy, tajemnica dla wszystkich, jedno nic zdradzi was i nowych niepokojów, nowych niebezpieczeństw naprowadzić może. A tutaj nie znajdziecie kto by was tak skutecznie obronił.

SAPIEHOWIE.

— Tymczasem, [illegible] starzec, [illegible] się wszystkich, [illegible] nie [illegible] was i po- [illegible] niepokojący, nowych niebezpieczeństw [illegible] A [illegible] kto by [illegible] jak [illegible]

IV.

Chociaż pospolicie Litwę i Polskę już w XVI wieku wyobrażają sobie prawie jednym co do obyczajów, języka i fizionomij powierzchownéj, co do wewnetrznych urządzeń krajem; wcielenie téj prowincij moralne, po tylokrotnych Unjach, nie było jeszcze dopełnione jak późniéj, a wiele różnic stanowczych, kraj Polski od Litwy odcechowywało.

Dzikszą jeszcze pomimo trzech wieków upłynionych była Litwa, obyczaje ostrzejsze, przepych dopiéro wszczynać się począł i to po dworach magnatów tylko, których królewski dwór uczył wytworu. Radziwiłłowie piérwsi wzbici dumą z królewskiego połączenia, z książęcych tytułów, i niezliczonych łask Augusta; dali przykład zbytku. Ale nikt ich wpoczątku nie chciał i nie mógł naśladować. Pańskie fortuny w Litwie i tutaj rzadsze; nawet książęta krwi Jagiellońskiéj, Olgerdowe rozrodzone potomstwo, nie mieli rozległych majętności. Nie uczuto téż jeszcze tak głęboko potrzeby przepychu. Szlachta żyła bardzo po prostu, skromnie, ubogo i wpół dziko prawie; budowy drewniane po większéj części okrywały Litwę, sioła jéj z chat nizkich i dymnych złożone, do lasów przyparte, lud ubogi, pracowity, uciśniony kryły. Wygody życia nie cenione, kraj potrzebom swym wystarczał, a sąsiednie miasta tylko, i bogatsi, zdobywali się na zagraniczne wyroby. Wieśniak okrywał

się swojéj roboty suknem, kożuchem, płótnem, obówiem; wóz jego nié miał nic żelaznego.

Szlachcic niemajętny mało się różnił od wieśniaka; żona jego i córki w domowych chodziły tkaninach, on sam krajowém okrywał się suknem, pasem fabryki domowéj podciągał; jadł co mu urodziła ziemia. pił miód pszczół swoich i piwo własnego waru. Wiódł życie ustronne, ciche, pracowite i na wpół dzikie.

Samotne to życie rodziło wprawdzie przesądów wiele, wad wiele, ale obfitowało także w cnoty — zaciszu i prostocie właściwe. Gościnność, otwartość wielka, męztwo zapasami ciągłemi z naturą i ludźmi rozwinięte, odznaczały Litwina. Mówił nie wytwornie, umiał nie wiele, i to co wpoił ojciec, czego nauczyło doświadczenie; ale dla obcych i nieszczęśliwych wylany, dla swoich sprawiedliwy choć nie zawsze łagodny, prawy we wszystkiém; za szorstkość płacił poczciwością.

W Polsce więcéj daleko znała szlachta swoją przewagę, siłę i godność, w Litwie lękliwie

jeszcze używała swych przywilejów. Szlachcic polski na zjeździe pod Lwowem za Zygmunta I. zagroził panom szablą, litewski nie pomyślał by nawet o tém, tak szanował swoich książąt i magnatów, z starego nałogu. Pokorniejszy od polskiego szlachcica, gdy go do żywego dotknięto, litwin krzywdy nie umiał darować, mścił się do ostatka, karał zabójstwy, krwią mazał posłuszny temu pogańskiemu jeszcze zabytkowi—uczuciu zemsty, któréj prawna kara zaspokoić nie mogła dostatecznie. Niewdawał się téż do prawa chyba rzadko i niechętnie, wolał sobie sam wymierzyć sprawiedliwość.

Z poddanym — bliżéj go będąc, może mniéj srogo obchodził się szlachcic litewski, nie przywykł go jeszcze uważać za bydlę, bo niedawno razem z wieśniakiem podlegał nieograniczonéj władzy panującego. Ta władza jakkolwiek umiarkowana znacznie nadanemi prawy, jeszcze w Litwie zawsze była większa niż w Polsce za ostatniego Jagiełły.

Jak życie było proste na Litwie, tak gospodarstwo zaniedbane i dzikie. Uprawa roli nie dawała korzyści, siano więc prawie tylko tyle ile spotrzebować miano; dochody stanowiły miody, woski, skóry i t. p. Ale potrzeby téż były małe i łatwo zaspokoić się dające, nie szukano przyjemności innych nad łatwe i pod ręką będące. Myślistwo po ogromnych lasach, rozrywkę razem i korzyść przynosiło, gospodarstwo było zatrudnieniem i zabawą; wieczorna pogadanka u komina kończyła dnie spokojne, a wywalona wichrem barć w lesie, nieraz stanowiła przedmiot rozmów długich i pełnych zajęcia rozpraw. Niedźwiedź co przeszedł z lasu, Łoś co się ukazał u stogów; był wypadkiem wielkiéj wagi, wspomnieniem na długo.

Spokój Litwy, w którym ona spała szczęśliwa, zamąciły wkrótce wypadki. Walka z Polską o Podole i Wołyń, którą podsycali możni, potém sprawa Unii, tylu mająca nieprzyjaciół, potém nareszcie reforma.

W ledwie nawróconéj Litwie, gdzie przywiązanie do nowéj wiary nie mogło być jeszcze wielkie, gdzie dwa i tak już wyznania walczyły z sobą; a lud kłaniał się po lasach bałwanom i czcił dotąd drzewa i węże, reforma wpadająca z gorącém pragnieniem nawracania, z wrzaskliwym zapałem, musiała głów wiele zawrócić. Oświecenie nie mogło być jeszcze tak upowszechnione, aby zapobiegło złemu. Ci co się uczyć chcieli, (a było ich niewiele) musieli szukać nauki w Krakowie lub Pradze, bogatsi w Lipsku i Padwie. Reszta nie pojmowała należycie wiary i dla tego łatwo, łatwiéj niż w Polsce odwieść się od niéj dała, za małe uznając, wielkie i stanowcze różnice.

W jednéj chwili, Wilno z katolickiego, stało się prawie reformowaném, kościoły nieważone i opuszczone; magnaci pociągnęli za sobą szlachtę ślepą i idącą za ich przykładem, pod ich powagą. Senat wkrótce litewski, tylko kilku liczył katolików, reszta albo była greckiego obrządku, albo przyjęła reformę. Na

żmudzi duchowni katolicy znikli, w stolicy wznosiły się zbory, na Łukiszkach, na Rybnym końcu, przeciw Ś. Jana. Nikt nie myślał radzić, a król obojętnie na to patrzał. Tym czasem Radziwiłłowie Koryfeowie reformy szczepili ją wszelkiemi sposoby, sypiąc pieniędzmi, łudząc popularnością lub protekcją swoją. Duchowieństwo upadło na duchu całkowicie. Wtenczas to Hozjus z Biskupem Walerjanem wprowadzili zakon Iezuitów, a piérwszy męczennik Krassowski, zapowiedział wielkie losy stowarzyszeniu, co liczyło między członkami swemi, ludzi tak bohatérsko pogardzających śmiercią.

Lecz wnijdźmy do pałacu Antokolskiego, gdzie Wojewoda Podlaski Fryderyk Sapieha, świéżo przybyły, przyjmował pokrewnego Pawła Kasztellana Kijowskiego. Wielka tu różnica od dworu Firlejów, Tarłów, Zborowskich, co się uczyli przepychu za granicą i wrócili bardziéj cudzoziemcami niż polakami. Na dworze jak na twarzy Pawła Kasztelana Kijow-

skiego i Fryderyka Wojewody Podlaskiego, jak w mowie ich znać starych litwinów, ludzi odrębną na sobie zupełnie powłokę noszących. Oba bowiem jeden pobytem w Rusi Moskiewskiéj, drugi poselstwy do Moskwy, nabrali coś obyczajów tamtejszych, stroju nawet i miny; choć oba dobrowolnie tam żyć nie chcieli. Otaczający dwór ze szlachty rusko-litewskiéj złożony, nie wytwornie strojny, nie szczebioczący układnie, wyglądałby dziko przy Firlejowych lub Łaskiego dworakach. Barczysty to lud, chmurnych wejrzeń, potężnych rąk, zawsze do szabli gotów, nieustraszony i nie ważący słów swoich na szali grzeczności i tak zwanéj wówczas polityki.

Barwa szara okrywała dworskich, konie ich mierzyny, siodła skórzane, pasy ze skóry palonéj, szable w żelaźnych pochwach, kołpaki futrzane na głowach; a suknie panów i sług staroświeckim jeszcze strojem. Włoskiego tu nie zobaczy się ubioru tak zwyczajnego w Polsce, ani hiszpańskich płaszczów, ani węgier-

skich maszkarnych przebierań; ale delje długie, kontusze po kostki ciemne, opończe szare. Klejnotów też nie ma wiele na pokaz, a ma je kto, to chowa od wielkiego święta.

Izby tego domu Sapieżyńskiego, (gdyż naówczas pałacem go jeszcze zwać nie było można) nie wszędzie nawet obite były; po większéj części nagie i pobielane tylko. Za cały sprzęt w nich ławy dębowe i jesionowe stoły, krzesła proste, piece kaflowe; w oknach szyby małe ołowiem oprawne, od tyłów nawet pęcherzem pozaciągane, podłogi sosnowe, potrzęsione jedliną, łoża twarde.

Ozdobą w nich oręże porozwieszane, szable krzywe, nie zewszystkiém jeszcze zarzucone łuki z kołczanami pąsowemi, rzędy na konie świécące, kulbaki sadzone, dywdyki szyte, skóry niedźwiedzie, rysi i lisów.

Obyczaje dworu surowe, poważne, męzkie. Włoskie zwyczaje miękkie, galanterja, muzyka, trefne pieśni, skoki i słówka nie przyjęły się na Litwie. Ze zgrozą widział lud maszkary

wileńskie Augusta i jego zniewieściałość. Kobiéty usunione prawie od towarzystwa męzkiego, utrzymywane, dość surowo, ani same się psuć, ani mężczyzn niewieścić czasu i zręczności nie miały.

Przędły kądziel, tkały płótno, szyły w krośnach i słuchały rodziców i mężów. Spiewać i mówić o miłości uważało się za rzecz sromotną i nie przyzwoitą mężczyznie, a sprosną dla kobiéty. A jednak przywiązanie stadeł były wieczne, były trwałe i nieporuszone, małżeństwa połączone świętym węzłem.

W komnacie bardzo po prostu przybranéj, na dębowéj ławie siedzieli Paweł Kasztelan i Fryderyk Wojewoda; oba starcy prawie, ale zdrowi jeszcze i silni, oba wzrostu słusznego, twarzy rumianéj, z zarosłemi brody i wąsami. Oblicze ich było poważne, surowe, męzkie, takie właśnie jakie widujemy na starych obrazach.

Paweł był starszy, siwy i nieco przygięty, Fryderyk rzeźwiejszy i żywszy.

— Jakież tedy wieści z Knyszyna? zapytał Paweł Wojewodę.

— Złe, zawsze złe, odrzekł wstając i przechadzając się z niecierpliwością Wojewoda. Ciż sami otaczają go, co otaczali; taż sama obojętność i bezczynność. E! do sto kaduków zniewieściał nam, zbabiał ze wszystkiém. A szkoda, szkoda, bo serce złote. Włochy tylko go zepsuli.

Kasztelan westchnął.

— I nie jego jednego, rzekł, ale pono wielu, ale bodaj nie na długo i nie wszystkich, puścili jad w obyczaje. Ktoby to poznał dziś stary lud Polski i Litewski, co się wstydził dawniéj tego pokryjomu zrobić, z czego dziś chełpi w oczy świata. Abominacja! Ale gdy powietrze ustało, Król by wrócić powinien?

— W Tykocinie mór go dognał, wyjechał do Knyszyna. Bóg wie.

— I Giżanka z nim?

— I ona i jéj poplecznicy. Mniszewska kupka. A piszą że panowie Senatorowie i inni,

przystępu nie mają, że skarby wielkie wywożą a wywożą.

— Myśleć by o tém Senatorom, gdy Król nie myśli.

— Jegoć to.

— Ależ użytek z tych poczciwych zbiorów niegodny.

Oba westchnęli i zadumali się.

W tém wszedł starszy Dworzanin Wojewody i oznajmił o przyjeździe nieznajomych jakichś ludzi, którzy sam na sam z panem Wojewodą widzieć się chcieli.

— Tu ich wezwać, rzekł Sapieha, nié mam tajemnic dla pana brata.

— Ale oni mieć je mogą, odpar Kasztelan wstając i chcąc wynijść, Wojewoda go nie puścił.

Stanisław Sołomerecki ze starszym towarzyszem podróży, weszli do izby; skłonili się nizko, a podali listy swoje Sapiehowi. Spojrzeli na chłopię co u proga stało, potém po

sobie, a Wojewoda zawołać kazał kogoś do przeczytania listów.

— Za łaskawém pozwoleniem, rzekł towarzysz księcia, gdybyście raczyli sami te listy przejrzeć i w tém jest przyczyna.

Wojewoda rozerwał sznurki i zbliżywszy się do okna począł czytać.

Głębokie panowało milczenie. Odczytawszy, nie chcąc zapewne mieć nic skrytego dla Kasztelana podał mu otwarte pisma Wojewoda, a sam postąpił do Sołomereckiego.

— Pozdrawiam was, rzekł, u mnie, otwartém sercem przyjmuję i pozostać proszę. Zapewnie po Firlejewskim dworze nie zasmakuje wam litewska dzicz, jak ją tam w Polsce zowią.

— Bardzo krótko byłem u pana Wojewody, rzekł Sołomerecki, a dawne moje życie.

— Po części to już wiemy, przerwał Wojewoda, sprobowaliście biédy. Ta nigdy człowiekowi nie szkodzi. Twardnieje w niéj jak

żelazo rozpalone w wodzie, probuje się jak w ogniu złoto.

— I uczy losowi nie ufać, dodał Kasztelan. Jam także wygnaniec i cierpiał nie mało, a nigdym nie żalił się na to. I owszem.

— I ja się nie użalam, cicho dorzucił Sołomerecki, dla matki tylko to mnie boli.

— Pobożne dziecko Bóg błogosławi.

— Jakie imię nosić będziesz? spytał Wojewoda, bo widzę że własnego nie możesz?

— Jakie się wam panie Wojewodo zda. Stary pomyślał gładząc brodę i odpowiedział.

— To wszystko jedno, daję wam do wyboru.

— Zwałem się będąc żakiem w Krakowie Maciejem Skowronkiem.

— To przynajmniéj Skowroński!

— Niech będzie jak się wam podoba, panie Wojewodo.

— Zawołać mi Grydy! klasnął w dłonie Sapieha.

Po chwilce wszedł żądany. Był to olbrzy-

miego prawie wzrostu człowiek, barczysty, silny, już szpakowaciejący, rumiany, z krótko ostrzyżonym włosem, ogoloną brodą i ogromnym wąsem. Ubrany w obcisły kaftan łosi i kontusz szary, buty czarne długie, nóż za pasem, czapka w ręku lisia z wierzchem aksamitnym.

Gryda był starszym marszałkiem, jak zwano nad dworem Wojewody.

— To jest pan Skowroński, polecony mi wielce, rzekł Sapieha, biorę go na swój dwór, będziecie mieli oko na niego pilne.

— Dopilnuję, rzekł Gryda spoglądając surowo w chłopca.

— Tylko łagodnie Grydo, bo to musi być jak z lica widać trochę pieszczone.

— No! no! my go tu Jasny Panie odpieścim, zmężnieje u nas i odejdzie mu ta bladość.

Wojewoda się przyśmiechnął.

— Łagodnie mój Grydo.

— A już kiedy pan Wojewoda rozkaże.

— Wielce mi polecony jedynak.

— Tego mu nie winszuję, gburowato odrzekł Marszałek. Z jedynaka, to wiadomo panie Wojewodo.

— Ale nie w waszych rękach.

— A juściż, niedałbym tak wyroić. Stanisław pobladł nieco, ale zwróciwszy łagodne wejrzenie na Marszałka, pomimo jego postawy i odgrożek, postrzegł łatwo, że nie tak był straszny, jak za strasznego chciał uchodzić.

Opatrzywszy Sołomereckiego w pieniądze, odzienie i poleciwszy od siebie Marszałkowi, towarzysze jego podróży, tegoż dnia, prawie niewidząc się z nim, odjechali. Znowu więc sam jeden pozostał wśród obcych i nowych postaci. Całkiem jednak różny to był świat młodzieży, od dwóch widzianych i poznanych przez niego wprzódy.

Dwór Sapiehy wojennego ducha i zatrudnień nadewszystko, składał się z dworzan do rycerskiego sposobiących rzemiosła. Co u pana Firleja wytchnieniem tylko i niejako

zabawką było, to tu zajmowało wszelkie godziny, za cel uważano. Jak dzień, poczynano od modlitwy; Wojewoda już katolik trzymał przy sobie Kapelana i codziennie z całym swym dworem słuchał mszy świętéj w kaplicy domowéj lub podróżnéj. Niekiedy w drodze stawiano ołtarz pod umyślnie rozbitym namiotem.

Po bardzo skromném śniadaniu, które jak obiad składały proste narodowe potrawy, obficie podane, wszyscy szli do zatrudnień. Jedni toczyli końmi, drudzy bili się w szable, inni strzelali do tarczy z łuków i rusznic; wyłączywszy tych, których posyłano gdzie, za sprawą jaką, z listem i t. p., obiad poprzedzony modlitwą trwał krótko, po nim powtarzały się ranne zatrudnienia, wieczerza, modlitwa znowu i to razem odbyta w czasie gdy po kościołach dzwonią na Anioł Pański, zamykały dzień. Wcześnie kładli się wszyscy spać. Nie znano tu co kości, co gra, śpiew i inna nad rycerską zabawa. Nic pieszczonego

i miękczącego nie było w obyczajach dworu, kobiéty usunione i oddzielone zupełnie.

Gryda rządził dworem Wojewody. Jak ogromny, barczystéj postaci i słów srogich, tak był słaby i miękki człowiek. Nie żeby brak mu było odwagi, bo téj dał dowody na placu bitwy nie jednéj; ale łatwo się przekonywać dawał, łatwo złagodzić.

A że w oczach jego nad tę dobroć i łagodność ukrywaną, nic nie mogło być sromotniejszego, Gryda udawał gbura i złośnika, upartego i ciężkiego człowieka. Nieustannie gniewał się niby, srożył, groził, marszczył i łajał. Dworzanie co go znali, często nadużywali nawet drażniąc poczciwego Litwina, dowiedzionéj cierpliwości, nic się go bowiem nie lękali. Dla nowych ludzi, Marszałek mógł się wydawać, piekielnym złośnikiem i nie pohamowanym prześladowcą, bo słowy w istocie takim był, ale nigdy uczynkiem.

Takim właśnie zdał się Sołomereckiemu, który słysząc jak go napominano o łagodność

wyobraził sobie, że wpadł w ręce nielitościwego oprawcy. Towarzysze umyślnie go w tym błędzie utrzymywali, udając bojaźń sami; a Gryda znowu groził mu nieustannie, dowiedziawszy się że jedynak i ciesząc się wrażeniem jakie uczynił na Stanisławie.

Do korespondencyi jeden tylko był duchowny na dworze Wojewody, który razem Kapelana obowiązki sprawiał; kancelarii żadnéj.

Wkrótce razem z Pawłem Kasztelanem Kijowskim, Fryderyk z Wilna ruszył obawiając się jeszcze powietrza, do dóbr Rożańskich. Podróż odbywała się powolnie i poważnie, w miasteczkach stawano po klasztorach, po wsiach u szlachty, która Sapiehów podejmowała z uszanowaniem i radością. Nigdy ta rodzina nie była popularną, ale dawniéj im mniéj się zniżyła, tém szacowano ją bardziéj, poważano więcéj.

W Rożanie nowe życie się rozpoczęło, łowów i dalekich wycieczek. Wojewoda smakował w lasach, lubił prawie niewygody i

pomimo podeszłego wieku, mawiał że to hartuje. To też nie nowina mu było przepędzić noc pod gołém niebem, na kożuchu, albo w chacie leśnego lub bartnika. Sołomerecki musiał się zaprawić pod takim panem do niewygód, do męzkiego życia, do szabli, konia i niebezpieczeństwa.

Raz z Rożanéj wyjechał Wojewoda na dziki w lasy nad Jasiołdą się ciągnące. Wcześnie przygotowano szałasy, zwieziono żywność i zegnano ludzi do Berezowego błota. Spodziewano się i dzików i łosi. Wojewoda niechcąc wejść na pałatkę dla niego sporządzoną, stanął koło pieńka na ziemi. Nie daleko na strzał od niego postawiono Sołomereckiego. Rozjuszony dzik już się miał rzucić na Wojewodę, który wystrzelił swoją rusznicę na głuszca niespodziewając się już grubego zwierza; gdy Stanisław odważnie wycelowawszy położył go trupem. Kula wprawdzie świsnęła koło ucha Sapiezie, lecąc na odyńca, ale wiepz się zwalił. Ten mały na pozór wy-

padek, zjednał serce Wojewody Sołomereckiemu. Pocałował go w głowę na miejscu i rzekł przy wszystkich.

— Zuch jesteś moje dziecko, chociaż o włos nie obroniłeś dzika odemnie, bo mi kula przeszła mimo uszów.

Odtąd ze szczególną pieczołowitością czuwał Wojewoda nad Sołomereckim, sam wskazywał mu zajęcia, sam codzień wypytywał o zatrudnienia, sam częstokroć naglądał nawet na niego.

— Będzie z niego człowiek, mówił do Grydy.

— Pan Wojewoda, łagodnością swoją go psujesz, odpowiadał Marszałek. Żeby to tak na moją wolą go dać, dopiéro bym go wykrzesał!

— Cóżbyś zrobił? spytał Sapieha.

— Siekłbym bez litości!

— Gdyby cię nie wstrzymywać, rzekł śmiejąc się ukradkiem Wojewoda.

— Dopiérobym ich wytresował! ale tą łagodnością. I kiwnął głową.

— Gubię ich? nie prawdaż? spytał Sapieha.

— Tego J. W. Panie nie powiem, ale to człowieka miękczy, a mężczyzna powinien być jak kamień.

— Jak ty jesteś?

— Nie pochlebiając sobie.

— Straszliwie się ciebie boją twoi podwładni.

— Drżą na widok! zawołał Gryda. O! bo wiedzą że nie daruję! Już co moje serce, to się z zajęczém nie bratało, nie skobiéciło.

Wojewoda który wiedział jakę to przyjemność sprawia roli Grydzie, gdy się chwali z twardości, i srogości charakteru swego, dał mu pokój.

Nie będziemy opisywali dłużéj pobytu kilko miesięcznego Stanisława Sołomereckiego na dworze Sapiehy. Wiele on na nim zyskał ze wszystkich względów pod okiem Wojewody. Brakujących mu najbardziéj rycerskich obyczajów tu nabył; a chociaż umiał bardzo

nie wiele, Sapieha nie uznał potrzebném, aby się uczył więcéj.

On powiadał zawsze.

— Szlachcic lepiéj szablą powinien pisać niż piórkiem. Niech mu głowę otworzą, katechizmu nauczą, Boga chwalić, rządcę obrachować; a będzie z niego. Więcéj nauki robi zarozumiałym, niewieści, miękczy i jeszcze czasem (co najgorsza) do kacerstwa doprowadza. Nauka jak sól dobra kiedy jéj nie wiele. Nauka rozumu nie daje, dodawał.

Gdy się to dzieje w Litwie; Książe Sołomerecki w Krakowie, usiłuje dowiedzieć się o synowcu. Ale napróżno, wysyła na Ruś, bezskutecznie, grozi matce i nareszcie wyjeżdża rozżarty w przekonaniu że ona go ukryć musiała.

Na drodze spotyka się z jednym ze czterech szlachty, który z polecenia Czuryły, odwiezli byli Stanisława, na dwór Sapieżyński.

Był to Łęczyczanin, wielki przyjaciel dzbanka, wielki wielbiciel butla, gotów sam się

sprzedać za wesołą pohulankę. Właśnie podróżny jego grosz całkiem był wyszedł, towarzysze nie mogąc mu na każdym noclegu i popasie dotrzymać, opuścili go i on sam pozostał. Siedział na przyzbie gospody rozmyślając co sprzedać, czy zapaśny kotusz, czy dosyć niepotrzebną opończę. Z tych dwojga uznawszy zbyteczniejszym kontusz, który dwóm pokoleniom mnogie lata wysłużył; wywołał żyda i począł targ.

Chociaż szlachcic doskonale udawał że mu na ujoczonym koniu kontusz w tłumoku wadzi, że się go pozbywa dla ulżenia szkapie, żyd nie w ciemię bity, poznał potrzebę i począł od tego że kupić nie chciał. Naturalnie, wkrótce potém kontusz został sprzedany za pół ceny, choć sukno dwubarwiste, grube i nieznoszone, a Łęczyczanin nasz smoktał z kufelka, rozmyślając poważnie.

Dwór Ks. Sołomereckiego całkiem cudzoziemską fozą, z pazikami, z biegunami, w krezach, w bufach, kusych płaszczach zajechał

przed gospodę. Sam Książe jechał rydwanem, za nim pod kapami szły konie powodne. Ale w całym tym przepychu, nie wiem jak a jednak wyraźnie przeglądał niedostatek. Gdzie niegdzie dziura, tam i sam łata, gęsto plam, sznurek w miejscu skór, ćwieki miasto mosiężnych odpadłych ozdób, konie chude, ludzie niesforni, wszystko zdradzało niebogatego podpanka. Żyd nawet poznał się na tém, ale nie Łęczyczanin, który podpojony już podwójnie utratą kontusza i wziętym trunkiem, wyobraził sobie, że się spotkał najmniéj z Radziwiłłem lub Ostrogskim.

Jedyna porządniejsza izdebina, zajęta była przez szlachcica i jego kulbakę z jukami. Słudzy Sołomereckiego chcieli go bez wielkiéj ceromonij wyrzucić, gdy sam Książe nadszedł i będąc w jakiémś szczególném usposobieniu. Łęczyczanina nazwawszy panem bratem prosił go aby pozostał.

Szlachcic rumiany jak jabłko, z kuflem w ręku stał przy ścianie tak uszczęśliwiony prze-

mowieniem pańskiém, że dał by się był za nieznajomego porąbać, chociaż nie wiedział nic więcéj nad to, że to był Książe. Myślał jak powiedziałem, że Radziwiłł lub Ostrogski. Trunek usposabiał go do otwartości, grzeczne obejście do wylania serdecznego i na piérwsze zapytanie Sołomereckiego, począł mu najszczerzéj opowiadać wszystko, chociaż poleconą miał tajemnicę.

— Z kądże to WMość powracasz? czy dokąd jedziesz.

— Powiem W. Ks. Mości, odparł szlachcic z radosnym uśmiechem, to cała historja, rzekłszy prawdę.

— No? i ciekawa?

— Rzekłszy prawdę, jak z książki.

— Opowiedźcież no mi to.

— Ha! ale to tajemnica, zawołał Łęczyczanin podnosząc rękę do góry. Arkan Mości Książe.

— Proszę, obojętnie wrzucił siadając Sołо-

merecki. Szlachcic ciągle stał przy ścianie z kufelkiem swoim w ręku.

— Jeśli W. Ks. Mość jesteś ciekawy, a raczysz mi dać słowo, że ni komu, ale to ni komu w świecie, rzekłszy prawdę.

— No, no, ni komu. I cóż to?

— *Sufficit.* Tak było. Poczynam rzekłszy prawdę, od początku.

— To najbezpieczniéj, tym sposobem trafi się najpewniéj do końca. Cóż daléj.

— Swięte słowa W. Ks. Mości. Jak to ślicznie powiedziano. Sto lat Księciu Jegomości!!

Książe kłaniającemu się uśmiéchnął.

— Siedziałem u pani Krzaczkowéj. Z pozwoleniem W. Ks. Mości, rzekłszy prawdę, wątpię, abyś W. Ks. Mość wiedzieć mógł nawet o Krzaczkowéj; ale to jest w Krakowie najsławniejsza gospoda, alias prawdę rzekłszy szynk. Tandem uczciwi ludzie do niego uczęszczają. Organista nawet od P. Maryi, *et alii honoratiores.* Siedziałem tedy u Krzaczkowéj

(Marzec u niéj wyśmienity) gdy szlachcic pewien, (imię jego zataję, imię bowiem tajemnica), wchodzi i mówi mi, coś tak mniéj więcéj *praeter propter*. Chcesz Waść zarobić grosza i cudzym kosztem podróż odbyć?

Ja, jako nigdy uczciwego nie odmawiałem zarobku, tak i tu téż. Mówię mu.

— Prawdę rzekłszy — zgoda, pomówmy ono o warunki, a tym czasem niech dadzą piwa. I on prawda kazał dać piwa, ale sam nie pił. Cóż się tedy dzieje? proponuje mi, razem z innemi trzema szlachtą, porwać pewnego chłopczyka.

Sołomerecki zerwał się z ławy i powstał.

— Co to jest W. Ks. Mości, może wody? albo piwa, spytał szlachcic.

— Nic to nic, mówcie daléj, rzekł Książe miarkując się i siadając, bardzo ciekawa jakaś historija.

— Istotnie, nie pochlebiając sobie, rzekłszy prawdę.

— Ale daléj.

— Idę dalej M. Książe, porwać mówi chłopczyka żaczka czy tam co, i uwieść w pewne miejsce. Ja mówię, a co za to? On mi to to, to owo, nareszcie umówiliśmy się o miejsce, czas i warunki. I prawda kazał dać znowu piwa, którego nie pił tylko ja. Nazajutrz, w samą noc Bożego Narodzenia.

— Z wilii na piérwszy dzień? spytał nie mogąc się pohamować książe.

— Tak! tak, porwaliśmy go i uwieźli.

— Dokąd?

— Proszę tylko słuchać! Chłopiec z początku się komosił, ale ten szlachcić coś mu powiedział i tak udobruchał że pojechał. A trzeba W. Ks. Mości wiedzieć, że to nie lada chłopię! Wielkiego rodu, piwa nie pije. I myśmy go uwieźli od jakiegoś prześladowania jak powiadali.

— Ale gdzieżeście go uwieźli? rzekł Książe.

— W tém, Arkan M. Książe.

— A za garniec miodu, powiesz mi? rzekł pogardliwie Książe.

Szlachcic się obruszył niesłychanie.

— Ja!! Z przeproszeniem W. Ks. Mości, prawdę rzekłszy, za królestwo tego świata tajemnicy nie powiem!

— To bardzo uczciwie i szlachetnie, rzekł Książe miarkując się; ale w tém szepnął coś do sługi i wniesiono garniec miodu. Dawszy się wprzód dobrze prosić Łęczycanin począł pić, pijąc wyznał że dziecko wywieźli do Litwy, ale więcéj ani słowa. Naleganie jednak i widoczna niespokojność Księcia, nie uszła oka pijanego, zaczął coś lamentować, domyślać się że głupstwo zrobił i udając potrzebę spoczynku, wyniosł kulbakę i juki do sieni, osiodłał konia, obejrzał się i uciekł.

CZURYŁOWIE.

V.

My powróćmy do Krakowa znowu, gdzie pan Czuryło z synem idą do Księżnéj. Dodajmy że Anna o stosunkach pokrewieństwa tak blizkiego dwóch Czuryłów zupełnie dawniéj nie wiedziała. Dziecko opuszczone i zaparte nie miało nawet miejsca w wspomnieniach starca; syn nigdy o swéj rodzinie jéj nie mówił. Gdy się więc we dwóch ukazali

u Księżnéj, z przybycia ich razem, nic wnosić nie mogła,

Było południe, Anna tylko co powróciła z kościoła; oznajmiono pana Czuryłę. Pomimo podejrzenia jakie miała na niego z powodu przestrogi żebraka, Księżna nie śmiała przypuszczać aby stary wierny sługa mógł ją zdradzić.

Przyjęła go więc prawie jak zwykle. Starzec z promieniejącą twarzą wszedł do komnaty uśmiechając się tajemniczo; pokłonił Annie wedle zwyczaju i wskazując syna, który pobladł i drżał spoglądając na księżnę, rzekł.

— Przyprowadzam W. Ks. Mości, mojego syna. Anna podniosła oczy, zastanowiła je na nieznajomym długo, zdawała się coś przypominać niewyraźnie, zarumieniła mimowoli i spuściła głowę.

— Biédny, zawołał Czuryło, przecierpiał wiele w niewoli Tatarskiéj, trudno go nawet poznać, tak się odmienił. Z młodego chłopaka, prawie starzec.

— W niewoli! smutnie powtórzyła Anna. I długożeście zostawali w niéj?

— Kilkanaście lat — M. Księżno.

Na głos pana Czuryły, znowu oczy nań podniosła, wlepiła uważnie i jakby odpędzając wspomnienie dziwnie powracające, dodała.

— A jakżeście z niéj wyszli? wykupieni?

— Uciekłem M. Księżno! O! ciężka była i niewola i ucieczka i powrót do swoich. Napróżno szukałem kto by mnie poznał, ojcu nawet przypomnieć się sam musiałem; w domu, w okolicy, wszyscy prawie zabyli dawnego znajomego, niektórzy go zaparli, inni wierzyć mu nie chcieli.

— W domu? spytała niespokojna widocznie Anna, gdzieżeście wprzódy mieszkali?

— Na Podolu.

Księżna pomięszana obróciła się do starego Czuryły.

— Nigdyście mi nie wspominali o synu?

— Byłem niesprawiedliwy względem matki jego, względem niego. Bóg mnie pokarał i

odebrał drugie dziecko.. Teraz dopiero upamiętałem się; ale po czasie.

— Jakim sposobem wzięty zostałeś w niewolę? spytała rzucając nań ukradkowe spojrzenie.

— Byłem na wyprawie jednéj nad Dniestrem, gdzie inni poginęli, jam nawet śmierci nie znalazł, tylko ciężką niewolę.

— Dawno?

— Latam nawet pogubił, odrzekł smutnie Czuryło, kilkanaście. Byłem potém w Budżaku, w Konstantynopolu, Adrjanopolu, więźniem na łańcuchu u ławy galery, w pracy, w poniewierce, w chorobach; uciekający, łapany, bity jak zwierz, pogardzony jako zwierze. Nareszcie dostawszy się na pogranicze nad Kodyną uciekłem.

— Z kim byliście nad Dniestrem, na téj wyprawie? spytała hamując się Anna.

Stary Czuryło, poglądał to na syna, to na Księżnę, serce mu biło młotem, jak dawno

już, jak za młodych lat, oczekiwał rozwiązania z niepokojem i trwogą.

— Z Księciem panem.

— Z moim mężem? spytała rumieniąc się Anna.

— Tak jest.

Znowu rzuciła nań wejrzenie, silne, pełne zapytań i nadziei. Czuryło ledwie mógł się pohamować.

— Gdzieście mieszkali wprzódy? na Podolu mówicie, ale w któréj stronie.

— Nie daleko Winnicy, rzekł Czuryło.

Anna zapominając się zupełnie ze łzami w oczach, drząca, poczęła się w niego wpatrywać, i z krzykiem zawołała zrywając się z siedzenia.

— To on! to on!

Naówczas szczęśliwy tym dowodem niespodziewanéj pamięci, Czuryło rzucił się przed nią na kolana, ale słowa wymówić nie mógł, płakał. Anna padła na krzesło we łzach cała. Stary nie wiedział co począć.

— Tak to ja, to ja jestem, rzekł nareszcie Nadbożanin, i niech dzięki będą W. Ks. Mości, żeście starego sługę swego poznali. Ta chwila nagrodziła mi niewolę Tatarską, męki lat długich, wszystko!

— Być że to może? być że to może? przerwała Anna. To nie sen? to wy? I mogliżeście mnie poznać?

— Poznałem W. Ks. Mość, od razu, gdym prosił u niéj jałmużny u drzwi Ks. Sołomereckiego, ale wówczas nie byłem poznany, ani późniéj gdym siadywał pod tym domem długo.

— Jak to? ten żebrak, litownik?

— To ja byłem.

— Ja was poznać nie mogłam.

— Nic dziwnego! Jam was poznał, bo te lata co mnie przybiły, zgniotły, W. Ks. Mości płynęły cicho, spokojnie.

— O! nie mówcie tego, nie wiecie. Nic nie wiecie! Te lata i dla mnie przeszły ciężkie

zostawując ślady. Moje dziecko, wy wiecie los mego dziecięcia! Wydarte, porwane znowu.

I płakać poczęła.

Stary Czuryło przechadzał się niespokojnie po komnacie, usiłując napróżno pohamować szarpiące go uczucie.

— Nadzieja w Bogu! dodał cicho.

— W jednym Bogu! powtórzyła Księżna, jakby z wymówką.

— I w waszych przyjaciołach, dodał młodszy z zapałem. Znajdziemy go, powrócim W. Ks. Mości, ja sam, ja, pójdę i nie ukażę się, chyba z nim.

— Niech wam Bóg płaci! Wy nie wiecie jak kocham syna. Stracić go! Jedyną pociechę, któréj dzieciństwa widzieć nie mogłam, którą wypieścić nie było mi wolno. Życie tak krótkie, straszno pomyśleć, że upłynie mi saméj jednéj, zawsze tylko w tęsknych nadziejach za dzieckiem, we łzach.

Stary kręcił się poruszony do żywego.

— A wolała byś, dodał cicho, wolała byś

W. Ks. Mość, aby był tu, i został może pochwycony.

— Wszakże i tak schwycony został? z podziwieniem odparła Księżna.

— Tak! tak! Ale kto wie.

— Co chcecie powiedzieć?

— Hm! Ja tego nie wiem, już nic nie wiem, ale jednak, miarkuję. Książe Sołomerecki gniewny, niespokojny, nié ma go więc w rękach swoich. Wyjechał z Krakowa odgrażając się i furjując. Więc Ks. Stanisław, nie jest w jego ręku. Ja myślę.

— Ale gdzież być może?

— Ja nie wiem, dodał Czuryło ruszając ramionami, ale może, kto z przyjaciół go uchował, ukrył.

— Z przyjaciół? z podziwieniem zawołała Anna. Na Boga, mój stary Czuryło, tracicie przytomność. Gdyby przyjaciel, czyżbym ja o tém mogła nie wiedzieć?

— Ja nic nie wiem, ale ja tak miarkuję, mówił stary, że nie powiedziano by W. Ks.

Mości, naprzód dla tego, aby się przypadkiem nie wydała.

— Ja! moje dziecko! własne dziecko.

— Mimowolnie! pomięszany rzekł starzec.

— Zresztą mój dobry Czuryło, czyżby przyjaciel chciał mnie tak dręczyć?

Szlachcic poprawił kontusza, a raczéj go szarpnął na sobie.

— Ja nic nie wiem, odparł, ale miarkuję, że, nareszcie kto wie? Wyjdzie to na lepsze.

— Daj Boże! z westchnieniem, zawołała Anna.

— A jeżeli może się tylko to zrobić: ja odkryję Księcia, ja! Dziś, zaraz, jadę i niewrócę aż z nim!

Stary spojrzał na syna z nieukontentowaniem.

— Gdyby był w Krakowie, to mu tysiąc niebezpieczeństw by groziło, Książe.

— Wszak mówiliście że wyjechał? przerwała Anna.

— Dopiéro wczoraj, widziałem jego orszak

cudzoziemskiego autoramentu i dziurawe łokcie dworzan, dodał wzgardliwie szlachcic.

Anna rzuciła nań wejrzenie surowe, jakby mu przypomniała że to był jéj krewny, a jakkolwiek występny i nieprzyjaciel nosił nazwisko jéj dziecka. Stary się pomiarkował.

— Bądź W. Ks. Mość spokojna, rzekł z cicha.

— Jak chcecie, abym o niego spokojną być mogła?

— Na mnie się spuśćcie.

— Na mnie, przerwał syn, ja go wynajdę. Czuryło ręką machnął niecierpliwie.

— Jakem szlachcic i stary sługa W. Ks. Mości, rzekł kładąc prawą na piersi.

— Przyjaciel, poprawiła go Księżna.

— Ręczę, że Księciu nic w téj chwili nie zagraża, bądźcie spokojni.

— Skądże o tém wiecie? żywo mu przerwała Anna, porównywając jego słowa w umyśle, z przestrogą syna, więc wiedzielibyście.

— Nic, nic nie wiem! zawołał uparty szlachcic, ale spodziewam się — czuję.

— Więc tylko na wiarę, nadziei—przeczuć: zaręczacie mi.

— Dość W. Ks. Mości, że zaręczam.

— Nie, nie dość, przerwała Anna, musicie mi powiedzieć.

— Ojcze, zawołał syn, jeśli wiecie co?

— Nic nie wiem, nic, odfuknął stary.

— To być nie może! wy coś wiecie!

— Wiem, nie wiem, rzekł Czuryło osaczony niespokojny, nie wiedząc jak sobie dać rady, a niechcąc się wygadać, a powiedzieć nie mogę.

— Na Boga! matce! matce! zawołała Księżna składając ręce.

— Ale ja nic nie wiem.

— Mój dobry stary Czuryło, ty nigdy nie umiałeś fałszu wyrzec tak, abyś się nie zarumienił i nie wydał go. I teraz ty mnie zwodzisz, ty wiesz. Miałżebyś okrucieństwo, taić przed udręczoną matką?

Stary związany, zmięszany, pod wejrzeniem Księżnéj i syna zmilkł, potarł czoło, stęknął.

— To bo to nieszczęście, szepnął, nigdy nie mogę utrzymać tajemnicy. Licho mi nadało w to się wdawać, *koły ne pip, ne ubiraj sia w ryzy*.

— Na Boga was zaklinam.

— No, no, cicho, tylko! mógłby kto posłyszeć. Cóż robić!

— Ty wiesz gdzie on jest?

— Wiem, szepnął stary, ale nie powiem; tego to taki nie powiem.

— Któż go porwał?

— Ja! rzekł Czuryło, ja!

— Ty?

— Dla czego?

— Abyś W. Ks. Mość straszona przez brata, nie mogła, nie mając w ręku dziecka, wyrzec się dla ocalenia mu życia, nazwiska ojca i całéj przyszłości, do czego byłaś już gotowa.

Księżna osłupiała.

— O! poczciwy stary przyjaciel. Ty! powtórz mi, tyś go uwiózł.

— I nie chciałem nic W. Ks. Mości mówić, aby się to przypadkiem nie rozniosło. Ale bądźcie o dziecko spokojni. Ono jest w pewnem, bezpiecznem miejscu.

— Dzięki niech będą Bogu, zawołała Anna, i to pewno? to pewno?

— Jak mnie W. Ks. Mość żywym widzisz.

Gdy to mówił pan Czuryło, ulica zatętniała, zatoczył się rydwan i wnet u drzwi dał słyszeć głos naglący, głos znany, Księcia Sołomereckiego, który w gniewie sługi rozpychając, bieżał do komnaty.

— To on! z przestrachem, zakrzyczała Księżna, to on. Mówiliście że wyjechał?

— Sam widziałem. Chyba powrócił!

Drzwi się otworzyły z trzaskiem i Sołomerecki wpadł do komnaty, srogi, gniewny, dumny, trzęsący się z wzruszenia.

— Pani siostro, zakrzyczał na progu, przyszedłem wam oznajmić.

Anna zbladła rzuciła się w krzesło.

Młodszy Czuryło, z zaiskrzonemi oczyma stanął jakby gotów do walki, mierząc oczyma nieprzyjaciela.

— Oznajmić wam, że wiem wszystko, Czuryło stary zatrząsł się, zsiniał.

— Co wiecie? słabo spytała Anna.

— Syn wasz! podrzutek ten! w Litwie! Myśleliście że się to udane porwanie ukryje przedemną, ale nie. Wczoraj dowiedziałem się o wszystkiém, jutro rozsyłam, jutro sam jadę za nim. Wiecie moje warunki?

— Ale ich nie przyjmie, szepnął stary Czuryło.

— Milczeć! zawołał Książe, do niéj mówię nie do was. I wpatrując się w starca dodał. Wyście machinowali to porwanie! wiem, wiem! Poznaję was z opisu.

Księżna milczała, młody Czuryło za ojca i nią zastawił się.

— Pozwolisz sobie W. Ks. Mość odpowiedzieć, rzekł, że są warunki, nad których przyjęcia lepsza jeszcze śmierć.

— Do was nie mówię, krzyknął Sołomerecki.

— Ale ja mówię do was! zawołał płomieniejąc szlachcic.

— Kto jesteście? spytał porywczo.

— Kto? szlachcic równy wam Kniaziu.

— Równy mnie?

— A może lepszy! dodał gorzko Czuryło, bo na niczyje nie czyhałem życie, a swoje nastawić gotowem.

— M. Księżno, burząc się wołał Książe, czy długo słudzy wasi będą mnie bezcześcić!

— Słudzy! ja niczyim sługą nie jestem.

— A któż, kto jesteś, wpatrując się szydersko rzekł Sołomerecki, może ulubieniec Ks. Jejmości! I zaśmiał się szatańsko, bo postrzegł że Czuryło i Anna oboje się pomięszali.

— O! to niegodne! nieludzkie, prześladować

słabą kobiétę, zawoła, nachodzić jéj dom i urągać nieszczęściu bezbronnéj.

— Bezbronnéj, nie, rzekł Czuryło, W. Ks. Mość uczyniłeś mi cześć nazywając ulubieńcem. Nie zasłużyłem na to imie, bom prawie nieznajomy, ale pragnę jeśli nie ulubieńcem, stanąć przynajmniéj obrońcą.

— Przeciw mnie! zaśmiał się dumnie, prostując Sołomerecki, przeciw mnie!!

— Przeciw W. Ks. Mości.

— Chyba przeciw sługom moim, równym a może lepszym od ciebie!

I zmierzył go wzrokiem tak wzgardliwym, że Czuryło, kładąc rękę na szabli, postąpił z ściśnionemi zęby ku Księciu jakby go chciał wyzywać lub porwać się nawet na niego.

Ojciec pohamował syna i odwodząc za rękę rzekł.

— W. Ks. Mość, chcesz więc koniecznie czyjejś krwi?

— Was wszystkich gdyby można! wykrzyknął Sołomerecki, godnych wspólników mo-

jéj miłéj pani siostry. Tak krwi, chłosty do krwi.

I silnie trzaskając drzwiami wyszedł rzuciwszy na Księżnę wejrzenie gniewu, pogardy i pogróżek pełne.

Czuryło chciał się rzucić za nim, ale go Księżna wstrzymała płacząc.

— O! niech idzie, niech idzie, nie wstrzymujcie go, dajcie mu pokój. Nie pozbawiajcie mnie ostatnich przyjaciół. On i was gotów — Brat! brat! dodała, a! czemuż przynajmniéj nie obcy!!

W téj chwili rydwan Księcia przesunął się mimo okien, a on wyglądając z niego, rzucił jeszcze okiem na siedzącą u okna Annę. Zadrzała spotkawszy grozne jego wejrzenie i znowu mocniéj płakała.

— Ale skąd że wiedzieć może! rzekł niespokojnie stary, to przechodzi moje pojęcie. Wszystko tak ułożone było tajemnie, tak ostrożnie, ludzie użyci.

— Wydać musieli.

— To być nie może, zawołał stary, ale, dla wszystkiego pójdę się dowiedzieć. Jeśli Książe wié cokolwiek, potrafiemy na to poradzić, przeniesiemy go gdzieindziéj, aż papiery nadejdą z Rzymu przez Nuncjaturę żądane, wedle obietnicy pana Kasztelana.

— To nic nie pomoże, odparła Anna, czyż nie widzicie, że nic go nie przekona, że przekonany nawet, tajemnie zawsze by go pozbyć się pragnął?

— Nie sądzę, znuży go ta próżna i niczém późniéj niedająca usprawiedliwić się walka.

— Jego! czyż nie wiecie, że mu o majątek chodzi więcéj niż o wszystko? A jednak jam mu go dawała.

— Potrzeba go się pozbyć, rzekł w téj chwili młodszy Czuryło, inaczéj to się skończyć nie może.

— To mówiąc rzucił znaczące spojrzenie na ojca i zdawało się, że uknuł jakiś zamiar, któren mu pilno było przyprowadzić do skutku, bo się rzucił ku drzwiom.

— Co myślicie? co mówisz? zawołała Księżna.

— Nié ma innego sposobu, pozbyć się go potrzeba, powtórzył Czuryło.

— Ale to być nie może.

— O! może, pani, zaręczam.

Anna pobladła.

— Wybyście chcieli.

— Nic prościejszego, zabić go.

— Wy?

— Ja? szczęśliwy będę, jeśli mi się to uda.

— Ale wy, wy zginiecie sami, on silny, on otoczony, on ostrożny.

— Zginąć mogę i chcę. Na cóż się teraz przydało moje życie, dodał smutnie. Zobaczyłem kogom chciał widzieć, wyczerpałem najgorsze i najlepsze, nié mam się czego spodziéwać i na co się szczędzić.

— Dla ojca, dla — I księżna pomięszana zamilkła. Na Boga, mówiła po chwili, porzućcie tę myśl niegodną was. Skazić się zabójstwem.

— Nie, M. Księżno, ukarać tylko prześladowcę waszego.

— Karać nie do was należy.

— A któż go ukarze?

— Zostawcie to królowi i Bogu, dla mnie dość uczynicie gdy mnie, a raczéj tylko dziecko moje zagrożone ochronicie od niego.

— Chodźmy ojcze, rzekł młodszy, nam potrzeba dojść skąd Książe wié, chodźmy. Chwili nié mamy do stracenia.

I rzucając Annę poruszoną zjawieniem dawno opłakanego człowieka, groźbami Księcia, wieścią wydobytą nareszcie od pana Czuryły; ojciec i syn poszli szybko w miasto umawiając się, jakim sposobem daléj poczynać sobie mieli.

Stary głowę łamał, jak znaleść swych wspólników, o których prócz jednego naczelnego, nie wiedział; pewny zaś był, że nie on wydał tajemnicę.

Ponieważ przez nikogo innego o reszcie

dowiedzieć się nie mógł, tylko przez Krzysztofa Piéniążka, pośpieszył więc do niego.

Powiedzmy tym czasem, kto był pan Krzysztof Piéniążek. Chociaż z rodziny dawniéj mieszczańskiéj, dochrapał się ojciec jego szlachectwa, które zresztą wielu mieszczan Krakowskich otrzymało (i dla tego to w Paprockim tyle kart wydartych gdzie spis Rajców Krakowa) kupił on wioskę w okolicy i rzuciwszy handel, począł żyć wystawnie, bratać z wyższemi od siebie; i jak to zawsze bywa, opłacać trzeba było poufałość szlachty wielkiemi ofiary. Jedni brali piéniądze, drudzy kazali się za to karmić i poić, a pan Piéniążek zebrany uczciwą pracą ojca i dziada majątek, puścił przez ręce mniemanych przyjaciół. Drogo opłaciwszy stosunki, drożéj mu jeszcze przyszło okupić ożenienie z wdową pięknego imienia wprawdzie, ale wielce podszarzanéj sławy. Synem téj wdowy był pan Krzysztof. Dumna kobieta uciskała męża i wyciągając go na życie kosztowne, wystawne,

do reszty zrujnowała. Pan Pieniążek umarł naprzód z żalu, że dziecku które kochał nad życie, losu zapewnić nie mógł; wdowa drugi raz rzuciła i syna i imie wzięte, a zabrawszy klejnoty, sprzęt droższy i co było kosztownego, uciekła z włochem doktorem za granicę. Sierota pan Krzysztof wychował się żakiem, poprzysięgając nienawiść rodzinie swéj matki od któréj opuszczony został i pogardzony, służył potém za granicą wojskowo w Węgrzech, i Holandii. Powróciwszy po bracie ojcowskim bezpotomnie zmarłym, odziedziczył maleńką kamieniczkę, i osiadł w Krakowie. Tu żył z niewielkiego dochodu posiadłości i różnych spraw, do których poprostu mówiąc najmował się. Pożyczał on ręki i szabli, ale zawsze dobréj tylko sprawie: podejmował się posyłek ważnych i tajemnych i t. p. Nigdy jednak inaczéj (bo to kładł za piérwszy warunek) aż przekonawszy się najdokładniéj, że nic podejrzanego, nic nie poczciwego nie kryło się w powierzoném mu zatrudnieniu.

Kamieniczka pana Piéniążka wznosiła się między dwoma ogromnemi domostwy. Plac przez nią zajęty widocznie dawniéj oddzielać tylko musiał dwie budowy; późniéj przy powiększającéj się ludności, zajęty dopiéro. Wąska a wysoka kamienica z spiczastą schodkowaną facjatką, miała trzy piętra nad poziom i okienko w poddaszu; obok otaczających ją, wydawała się jak wieżyczka. Sklepik zajmował dół, kupiec piérwsze piętro, ubogi mieszczanin drugie; kobiéty jakieś wielce podejrzane trzecie, a w poddaszu umieścił się sam pan Krzysztof. Szkoda mówić, żeby mu tam miało być wygodnie; bo mijając to, że do niego leść było potrzeba, po długich, po kręconych, ciemnych, wązkich i coraz bardziéj stromych schodkach; całe mieszkanie składały dwie ciupki. Jedna z oknem na ulicę w facjacie, nizka i tylko w środku wyprostować się dająca, bo boki spuścisty dach ucinał, druga z okienkiem w dachu małém pęcherzem zaciągniętém, za skład służąca.

Piérwsza zawierała łóżeczko jak żłobek wyleżane, skórą i kołdrą pokryte z poduszką czarną skórzaną i makatką wytartą. Na niéj dwie pary ogromnych pistoletów w mosiądz oprawnych, rusznica, szabla, szpady i t. p. aż do tureckiego noża. Na stoliczku lichtarz z łojówką, szklanka, butelka, grzebyk do włosów i forma do lania kul. Na krzesłach słomą wybitych, odzienie porozrzucane bez ładu, daléj dzban nadtłuczony, miska podobna, kilka par butów i u drzwi skrzynka nie domknięta.

Wpośrodku izby piérwszéj siedział p. Krzysztof, naprawując sam rozprutą suknię i śpiewając wesoło, gdy pan Czuryło zdyszany, zapukał do drzwi.

— Drzwi i serce otworem! proszę, rzekł zwracając się i igłę w zęby biorąc gospodarz.

Weszli, jednem wejrzeniem zmierzył ich pan Pieniążek i podsuwając krzesła, sam zająwszy miejsce na łożu, wesoło powitał.

— Cóż tam szanownego pryncypała sprowadza? zapytał. Ot, widzicie, zajmuję się

krawiectwem choć szlachcic, ale nie za pieniądze, tylko dla własnéj uciechy, tandem to nie powinno klejnotu mi kalać.

— Zapewne, rzekł pan Czuryło.

— Nigdym nie mógł zrozumieć, co to ma do szlachectwa i poczciwości (bo to u mnie wszystko jedno) że kto pracuje ręką?

— Mego syna wam polecam, przerwał stary.

— A! cieszę się mocno! ale go piérwszy raz widzę, nie wiedziałem nawet.

— Z Tatarskiéj niewoli wraca.

— O! do sta katów, nie dziw że pożółkł.

— Wiecie, tajemniczo szepnął Czuryło że niepojmuję jak wszystko się wydało.

— Co? to być nie może! zawołał Krzysztof rzucając odzienie z niecierpliwością, to być nie może!

— Jakem poczciw. Dziś Książe powrócił, na drodze musiał się dowiedzieć, że go wywieziono do Litwy. Ale od kogo.

— Nierozumiem, klnę się cześcią że niepoj-

muję. Za towarzyszów ręczę, a na oku ich wiodąc do samego Krakowa przywiodłem.

— Kiedyście wrócili?

— Trzy dni temu.

— Wszyscy?

— Czekajcie! A! jestem w domu, Łęczycanin się na chwilę pozostał był i opóźnił, ale wczoraj powrócił. Nikt innny jak on. Spił się jak bela.

I ze zgrozą podnosząc pięść dodał.

— Przysięgam, że go więcéj nie użyję, niech z głodu zdycha i co chce robi.

To mówiąc pobiegł do drzwiczek od drugiéj izdebki, schylił się w nich we dwoje i począł wołać.

— No, wstawaj i chodź tu—słyszysz.

— Hę, idę, idę, odrzekł mu głos stłumiony, prawdę rzekłszy, nie wyspałem się jeszcze, ale idę.

— I wnet prawie we drzwiach ukazał się dosyć skromnie, bo w nieodbitém tylko odzieniu, Łęczycanin przecierając oczy, i drapiąc głowę.

— A co, spytał wodząc do koła! wejrzenie jeszcze śpiące.

— Mów prawdę! groźno zaryczał Piéniążek, a nie, to cię z okna tego na ulicę precz wyrzucę, mów prawdę.

— Oszalał czy co! ja zawsze ją mówię, jakem szlachcic! I do tego jestem na czczo.

— Właśnie dla tego zastrzegam żebyś mówił mi prawdę.

— Ale jakąż? bo dalipan nie wiem czego chcesz. Mam sto wielkich prawd do powiedzenia, poczynając od najogromniejszéj względem doskonałości Marcu u pani Skrzaczkowéj.

— Tu nie o kpiny idzie, mospanie, ale o zdradę!

— O zdradę! No, cóż to jest? pytajcie.

— Wyście zdradzili, wydali.

— Ja! ja! ze zgrozą cofając się załamawszy ręce, rzekł szlachcic. *Pudendum horrendum*! Ja!

— Ty, bo nikt inny nie mógł, chyba ty zapiwszy się.

— Ja! co? kiedy? komu?

— Nie spotkałeś się z nikim w drodze, przyzostawszy za nami?

Szlachcic pstryknął palcami i kiwnął głową, jakby rzekł. Teraz wiem.

— No! no! rozumiem!

— A widzisz.

— A, zobaczycie, że nic się nie stało, spokojnie odparł Łęczycanin, dajcież mi no gadać.

— Mów, a prawdę, rzekł pan Krzysztof.

— Otóż to tak było. Drugiego dnia, kiedy mi koń zakulał, jadę ja sobie powoli i zajeżdżam do karczmy.

— Tegom się spodziewał.

— A gdzie chcecie, abym zajeżdżał? Dosyć że zajeżdżam, goły zupełnie i do tego koń zmęczony, ciężkie juki.

— Patrzajcie, to już kłamstwo.

— Ciężkie, obstaję przy tém, i tak ciężące że musiałem kontusz mój stary, pamiątkę po ojcu, dla ulżenia mu sprzedać.

— I kupiłeś piwa?

— No! a cóż robić miałem. Złe było to prawda, ale jakie było, takie musiałem przyjąć. Nie było rady, siadam i piję. Aż tu, rumot, turkot, strach, zajeżdża jakiś magnat, pan, Książe.

— Otóż jest, rzekł Czuryło.

— Tak jest, Książe, dodał szlachcic, ale to nie koniec. Słudzy jego chcą mnie rugować gwałtownie z izby, opieram się, on sam *Serenissimus* czy *Celsissimus* nadchodzi, i łagodnie, powolnie, każe mi się zostać. Ja dla sług, aby im okazać com za jeden, zostaję ze swoim kufelkiem. Wszczyna się rozmowa.

— I wszystko wydane! rzekł Czuryło smutnie.

— Poczekajcie no, jeszcze nie. Pyta mnie skąd ja, kto ja. Powiadam, dziwna to historja i poczynam mu opowiadać.

— Tak! niegodny! zdradzać, zawołał Krzysztof z oburzeniem, zdradzać!

— Ale nie, mówię mu, bez nazwisk i miejsc.

On mnie pytać poczyna, ja się trzymam *ut decet.* Nalega, i powiada. Powiesz za garniec miodu. Tém mnie obraził! Rzeknę mu. Ani za królestwo świata. On to chwali i każe dać miodu, ale tak mnie napiera, tak napiera, że djabeł wie jak wygaduję się z Litwą.

— I z wszystkiém?

— Jakem szlachcic, nie! Ale postrzegłszy że kręto, język się plącze od miodu, bojąc aby mi czego więcéj z pod serca nie wydłubał; za kulbakę, za juki, niby spać ja zabrawszy się, na szkapę, w nogi.

— Nic nie powiedziałeś więcéj.

— Cóż to? myślicie, z dumą rzekł Łęczycanin, żem gotów przedać się! ha, mosanie, to krzywda, to dyshonor, za to mi odpowiecie. Nigdym nikogo nie zdradził!

— Ależ się taki bardzo nie potrzebnie wygadał.

— Ludzka rzecz, a języka w porę powstrzymałem. Za te podejrzenia winniście mi.

— Garniec piwa, dorzucił pan Krzysztof.

— Przynajmniéj Marcu—i to od Krzaczkowéj.

Pan Czuryło trochę uspokojony zgodził się na indemizacją, i szybko wyszedł.

[illegible] m
[illegible] gar-
nice miodu [illegible]
Ani za królestwo świata. On to chwali i każe dać miodu, ale jak mnie napiera, tak napiera, że djabeł wie jak wygaduję się z Litwą.

— I z wszystkiemi?

— Jakem szlachcic, nie! Ale postrzegłszy że krztu, język się plącze od miodu, bojąc aby mi czego więcéj z pod serca nie wyłuskał, za kulbakę, [illegible] jak, aby spać ja zabrawszy się, na szkapę, w nogi.

— Nic nie powiedziałeś więcéj.

— Cóż też myślicie, z dumą rzekł Krzy-[illegible], żem gołow [illegible] się! [illegible], to krzywda, to dyshonor, aż to mi odpowie-cie. Nigdym takiego nie słuchał!

— Ależ się tak bardzo nie [illegible] wy-gadał.

— Ludzka rzecz, a języka w pięć powstrzy-małam. Za to podejrzenie wybaczcie mi.

— Bardzo pięknie, dorzucił pan Krzysztof.

GRONOVIUS I DURAN.

VI.

Gdy Czuryłowie wchodzili do kamieniczki pana Pieniążka, w tym samym prawie czasie zatoczył się powóz Sołomereckiego przed wrota, zastanowił, i chmurny Książe, osłaniając płaszczem, wszedł w ciasny dziedzińczyk. Widocznie szukał kogoś, obejrzał się do koła, parsknął ze wzgardą i wszedł na wschody wiodące do mieszkania pana Krzysztofa. Opo-

wiadanie Łęczycanina miało się ku końcowi, gdy Sołomerecki zbliżał się ku drzwiom. Tu spotkał chłopaka, odarte dziecię posługujące Pieniążkowi.

— Gdzie tu mieszka, spytał, Gronovius.

— Grenobisz? Tu nié ma żadnego Greniobisza.

— Stary, łysy, siwy, cudzoziemiec, doktór.

— Na tyle mieszka doktór, ale nie Grenobisz, ten się jeszcze gorzéj nazywa bo *Duran*.

— A! Duranus! Gdzie? na tyłach? Prowadź mnie do niego.

— Ja! nié mam czasu, skrobiąc się sparłszy na poręczu wschodów, rzekł Jacuś.

— Wszak nic nie robisz?

— Ej! skrobię się! obojętnie mruknął chłopak.

— Grosz ci dam?

Chłopięc zdjął łachman czapki, przesadził poręcz, skoczył na wschody i potoczył się w dół jak kula, śpiewając piosenkę.

Sołomerecki zastał go na dole siedzącego

na ostatnim wschodzie i świszczącego przeraźliwie.

Pan Czuryło z synem, właśnie także schodzili, gdy głos Księcią, znany im, bo świéżo słyszany, doszedł ich z dołu.

— O! już tu jest! rzekł młodszy, pewnie szuka Łęczycanina.

Zeszli szybko w cichości, ale gdy go mieli dognać, Książe właśnie zawrócił się w dziedziniec, za Jacusiem do Gronoviusa i Durana.

— Dokąd poszedł? spytał młodszy.

— Zdaje się, że do tych czortów czarnoksiężników.

— Jakich?

— Dwóch przeklętych niemców, których pan Podkomorzy koronny sprowadził dla doktorstwa, alchymii i nie wiem tam jakich praktyk tajemnych.

Tak było w istocie, Gronovius i Duranus, byli nadwornemi pana Mniszcha, który ich pod ten czas odesłał do Krakowa. Jeden z nich na przemiany towarzyszył prawie zawsze

Podkomorzemu i jeździł za dworem królewskim z nim razem. Oni z Egidem któregośmy wyżéj widzieli, posługiwali w różnych razach Mniszchom i Giżance. Niezapominajmy, że jak wszyscy wówczas, tak i Król wierzył we wróżki, w czary, magią i czarnoksiężników, że się radził astrologów i wieszczbiarzy, a nawet prostych bab, jak Budzikowa i Korycka.

Nim z Sołomereckim wejdziem do Gronoviusa i Durana, musiemy uprzedzić czytelników, że wierny swemu czasowi Książe podzielał zaślepienie wszystkich względem czarnoksiężników i magii. Wyczerpawszy wszystkie sposoby szkodzenia bratowéj i bratankowi, Sołomerecki gniewny, rzucał się ostatniego, szedł pomocy żądać od mniemanych wszystko widzących i wszystko mogących Gronoviusa i Durana.

Ci dwaj zajmowali na tyle kamieniczki pana Pieniążka mieszkanie dolne i piwnicę. Dawniéj ono służyło za szynkownią, i dla tego wejście do lochu było z wnętrza. Urządzając

swoje laboratorjum wybrali sobie umyślnie dwaj czarnoksiężnicy to miejsce, jako ukryte i dla nich wygodne.

Maleńkie drzwiczki w grubym murze wykute wiodły do tej tajemniczéj ciemnéj i nizko sklepionéj pracowni. Sowa wypchana z rozczepierzonemi skrzydły u wejścia, oznajmowała mieszkanie Gronoviusa i Durana.

Duża izba urządzona była tak widocznie, aby uczynić wrażenie na wchodzących. Z dwóch wązkich okien, patrzących w ciasną uliczkę, jedno osłonione było czarném suknem, drugie mało co wpuszczało światła. W pośrodku nizki, na grubych nogach wyciągał się stół cały pokryty księgami, pismami, kawałkami drzewa, wosku, horoskopami i kwadraty astrologicznemi, kośćmi i t. p. Zegar i głowa drewniana straszna, rodzaj *terafim*, zajmowały środek stołu. Na ścianach wisiały wypchane zwierzęta różne, kości mammutowe, suknie wyszyte w znaki niebieskie i tajemnicze cyfry.

Dalej na pułkach słoje z monstrami w spirytusach, flaszki, gliniane kufle i laki, garnki, kolby szklanne do alchemicznych doświadczeń rozrzucone były. Na lewo wielki kapturem pokryty komin, przypierał do alchemicznego piecyka, na teraz zagasłego. Mnóstwo ziół schły porozwieszane i porozrzucane.

Słabe światło okna jednego powiększało jeszcze dziwaczność téj izby, nie dając dojrzeć niczego dokładnie; głowa tylko którą zwać będziem *terafim* kościotrup w kącie, mumia w swych powijaczach w drugim, wyglądały z cieniów.

Dwóch ludzi znajdowali się w pośrodku za stołem. Jeden maleńki, garbaty, łysy, z rudą brodą i okiem jedném zagasłém, zmrużoném, drugi poważny, piękny, słusznego wzrostu, dumnéj postawy, w czarnéj sukni z łańcuchem na szyi.

Mały zwał się Duran, słuszny Gronovius. Znać było że piérwszy był nie jako pomocnikiem tylko i *anima damnata* drugiego; chociaż

w twarzy Gronoviusa pięknéj i na pozór nawet szlachetnéj, w oczach jego zmrużonych, wargach przyciętych sarkastycznie, czytać było można, że i bez pomocnika chytry cudzoziemiec byłby się obszedł; sam by potrafił sobie wystarczyć.

Gronovius zajęty był pisaniem listu, Duranus rysował kwadrat magiczny napełniony liczbami, które naprzemian rysował czarno, niebiesko i czerwono.

— Mistrzu, ozwał się chwilką przed nadejściem księcia poczwarny karzeł, szydersko, złośliwie, jak wam się zdaje, Król JM. rad będzie swojemu kwadratowi?

— Nie przeszkadzaj mi pisać.

— A gdybym koniecznie chciał przeszkadzać? dodał złośliwy karzeł.

— W takim razie powiedz mi, to wcześnie przestanę.

— Nie, nie, pisz, chciałem tylko sprobować twojéj cierpliwości.

— Nadużywasz jéj Duran oddawna.

— Do prawdy?

I to mówiąc, jednėm okiem, ale ognistém i kolącém spojrzał na Gronoviusa. No, no, pisz, pisz. Wprawdzie, oprócz kwadrata królewskiego, miałem z wami i o czém innem do pomówienia.

Tu umyślnie zawiesił.

— No, to mów, słucham, pewnie o *wielkiem dziele?*

— A o czém że by innėm?

— Myślę właśnie, o *słonecznéj wodzie.*

— Znalazłeś co nowego?

— Zdaje mi się.

— Formułę nową, sprobujemy jéj dzisiaj, wchodzi do tego *elixir Aristaei* i *balsam merkuryjalny*, *wąż ukrzyżowany* (siarczan złota) i *księżyc.*

— To nieszczęście że *wąż* będzie dużo kosztował, a wszystkie dotąd próby daremne.

— Cicho! na cóż to powtarzać tak głośno? alboż nie zostało nam tysiąc jeszcze prób, w ostatku zaś wyrocznia *terafim*, która po-

wie, jak *piękne* robi się *złoto* i *kamień filozoficzny?*

— Zapewne, odparł Gronovius, ale twój *terafim* milczy jak pień.

— Bo też to nie jest prawdziwy *Androides* ani *Terafim*. Wiesz co potrzeba do prawdziwego?

Gronovius się wzdrygnął.

— Cóż to! w proporcją wielkości wynalazku! dodał złośliwy Duran śmiejąc się. Jedno dziecię!

— Krew, zabójstwo.

— E! e! dajcież mi pokój ze skrupułami nie w porę. Wszystko to głupstwo. Bylebym tylko dostał co potrzeba. Piérworodne dziecię, głowę piérworodnego, rozkłutą dobrze, wytartą oliwą i solą ammonjacką. Otoczym ją świécami, podłożym złotą blaszkę pod język z imieniem demona wyrytym na niéj, a powie nam co zechcemy. (*)

(*) Wszystkie szczegóły czarnoksięzkie są historyczne; podobne praktyki dopełniały się.

Na te właśnie słowa nadszedł Książe, który do drzwi zapukawszy, ukazał się nagle, zszedł dwa stopnie w dół i stanął przed Gronoviusem wychodzącym na jego przyjęcie.

— Doktor Gronovius?

— Ja jestem?

Książe spojrzał na Durana, który niewstając zwrócił oko na niego i mierzył go niém bacznie.

— A to? spytał.

— Mój towarzysz, Duran.

— Do usług, mruknął karzeł. Co rozkażecie.

— Chciałbym pomówić tajemnie.

Gronovius powstał, drzwi zaryglował i skinąwszy na Durana, otworzył drzwi lochu, do którego wprosił księcia. Loch, urządzony był na posłuchalnią, gdyż głośna nawet w nim rozmowa, dosłyszaną być nie mogła. Wilgotne jego ściany, okrywał papier zapisany znakami, figurami, linjami, lampa płonęła od skle-

pienia zwieszona, maleńki stolik z trupią głową w pośrodku, trochę gratów po kątach.

Gronovius podał zydel Księciu, sam siadł w krześle. Duran ukazał się na wschodach w cieniu.

— Słucham.

— Rzecz taka — Jest dziecię, które zgubić chcę.

— Dziecię.

— Chłopiec piętnastoletni.

— Cóż daléj.

— Dziecię to chcą udać za syna mojego brata, ja chcę aby nie żyło.

— Rozumiem, rzekł Gronovius, ale my się nie podejmujemy gubić ludzi, tylko im, ile nasza umiejętnocć dozwala pomagać.

— Ja was też nie proszę o zgubienie dziecięcia.

— Więc o cóż, M. Książe?

— Skąd wiecie, kto jestem? czerwieniąc się spytał Sołomerecki, który żywo powstał na te słowa.

— Ja, wszystko wiem, zimno odparł Gronovius.

— Więc wiecie także czego od was chcę.

— Chcecie wiedzieć, gdzie się to dziecko znajduje?

— Tak jest, nieśmieléj już odpowiedział Sołomerecki, trąc ręką po czole.

— I nic więcéj? wlepiając weń oczy rzekł Gronovius.

— Trucizny, wyrzekł tak cicho, Książe, że czarnoksiężnik raczéj się domyśleć niż dosłyszeć musiał.

To mówiąc położył na stoliku woreczek z pieniędzmi. Gronovius schował go do kieszeni.

— Chodźmy na górę, zawołał, postaramy się zadość uczynić waszemu żądaniu. Duranus śpiesznie poskoczył na krzesło i udał bardzo zajętego pracą, tak że się nawet nie odwrócił gdy weszli.

— Duranus, zawołał Gronovius—ten—wska-

zał na Księcia, chce wiedzieć, gdzie się dziewa dziecko, o którém w téj chwili myśli.

— Wnet, odrzekł Duran schwytując się, i wymierzając oko na Sołomereckiego, powiedźcież mi naprzód, jakiéj chcecie wróżby?

— Jakiéj? alboż wiem, byle mi powiedziała czego żądam.

— Jest mnóstwo sposobów dojścia prawdy. Wywołaniem umarłych, tłumaczeniem snów, obserwacją gwiazd i konstellacij, aëromancją, pyromancją, hydromancją, rhabdomancją, ksilomancją, i kleidomancją i innemi.

— Ja tam nic nie wiem, dumnie odparł książe, wróżcie jak chcecie, bylebyście mi powiedzieli gdzie jest?

— Wywołaniem umarłych? spytał Duran myśląc że zastraszy.

— Jak się wam podoba, zimno rzekł Sołomerecki.

— Albo za pomocą téj głowy to jest *Teraphim?*

— Jak chcecie.

Gronovius i Duran spojrzeniem zdawali się naradzać, następnie, ostatni obnażył ręce po łokcie, zdjął drewnianą głowę, ustawił ją na podłodze, zakreślił koło, wziął rószczkę, natarł się jakąś maścią ze słoika dobytą, i począł biegając szeptać.

Książe stał niemy, zdziwiony i pomięszany. Duran szybko miotając się mówił, jakiś głos zdawał się mu to z za okna, to z lochu, to z góry na przemian dopowiadać słowy niezrozumiałemi, głucho. Ile razy Książe głos ten dziwny, stłumiony posłyszał, obracał się to tam, to sam, ale nigdzie nie mógł dojrzeć skądby pochodził. Gronovius oparty o stół patrzał obojętnie.

Duran wybiegawszy się dobrze, stanął wreszcie i rzekł kładnąc laskę. Skończono, wiem teraz wszystko.

— Słucham was.

Karzeł zdjął srébrną tackę ze stołu i podstawił ją Księciu mówiąc.

— Dla *terafim!* co ofiarujecie dla *terafim?*

— Garstka pieniędzy brzękła na tacce.

— Pytajcie mnie, rzekł Duran.

— Gdzie on jest?

— W Litwie, odpowiedział karzeł.

— Mianowicie?

— Na dworze Sapiehy Wojewody Podlaskiego.

— Kto go tam zawiózł.

— Cztérech szlachty, na czele jéj Krzysztof Pieniążek.

— Z czyjego rozkazu?

— Nieznajomego szlachcica.

— Jego imie.

— Głowa nie wie.

Książe się zamyślił. Dobrze, rzekł, a teraz reszta.

Gronovius mruknął na Durana. Ten podstawił drabinkę do półki, rozgarnął słoje, wyszukał flaszki z czerwoną jakąś mieszaniną, nalał z niéj kilka kropel w maleńką bańkę, tak zrobioną, że mogła być zawieszona na sznurku i noszona na szyi, a potém podał ją Księciu.

— Tylko tyle?

— Aż nadto wystarczające, odpowiedział Gronovius.

Sołomerecki schował podaną sobie flaszeczkę za suknię, pochodził po izbie, jakby się chciał uspokoić, wskazał ręką na drzwi, które mu Duran odemknął i powoli wyszedł.

Jacuś stał na drodze i świstał.

— A co paniczu? dostałeś lubczyku? spytał przedrwiewając; mówią że oni lubczyk przedają? hę? Czy to prawda?

Popchnięty w milczeniu, odskoczył na kilka kroków, zdjął czapkę i pokazując język, dodał niby żegnając.

— Nogi całuję, Lubczyka.

Ledwie się drzwi zamknęły, gdy Czuryło pukać do nich począł i wszedł z synem niespokojny.

Dwaj czarnoksiężnicy naradzali się nad czémś w pośrodku izby, Gronovius wyszedł naprzód.

— Chcę z wami pomówić na osobności.

Wskazał na drzwi lochu, do którego on, syn i Gronovius weszli. Duran stanął na wschodkach.

— Wiecie kto od was wyszedł, rzekł Czuryło nie dobrze pokrywając niepokój, którego doznawał w tém miejscu dla niego straszliwém.

— To do was nie należy?

— Owszem za tém idę.

— To darmo idziecie, tajemnice cudze są święte.

— W tém tajemnicy nié ma, Sołomerecki był u was.

— Być może, ja osób nie znam, nie wiem.

— Pytał was o bratanka?

— Nie pamiętam.

— Daliście mu flaszeczkę, którą wychodząc zgubił.

Gronovius pomięszał się niewymownie na widok bańki, zabełkotał, wstał i rzucił wejrzenie ku Duranowi.

— Ta bańka, mówił stary daléj, zawiera truciznę dla bratanka.

— Nie wiem, ona nie odemnie.

— O tém się później przekonamy, mówił Czuryło usiłując udawać odwagę, której mu wielce brakło.

— Ale czego wy chcecie od nas, zapytał poważnie Gronovius. Jeśli straszyć, uprzedzam was, że mnie się lękają, a ja nikogo nie boję.

— Być może, jednak. Pozwólcie mi ułożyć się z wami.

— O co chcecie, ale mi nie groźcie.

— Powiedzcie mi czego od was chciał ten co wyszedł?

— Wszak wiecie.

— Domyślam się tylko.

— Domyślacie się może słusznie.

— Powiedzieliśmy mu gdzie jest bratanek?

— Powiedzieliśmy o co pytał. Dajcie nam tę bańkę—proszę, dodał, wyciągając rękę, może ona wzbudzić podejrzenia, obmowy i chociaż nie odemnie wyszła.

— Od was.

— Nie, wszelako, choćby dla ciekawości mieć bym ja pragnął.

— Oddam wam ją, powiedźcie mi, czego on przychodził. Tu pan Czuryło dostał sakiewki, wyjął trochę pieniędzy i położył na stole.

— Oddacie mi bańkę?

— Przyrzekłem.

Głos z góry pochodzący, stłumiony, i straszny wyrzekł z wielkiém przerażeniem pp. Czuryłów obu.

— Pytał i odpowiedziano mu. Dziecię jest u Sapiehy.

— Gronovius nie zdziwił się wcale głosowi, zsunął pieniądze, zabrał bańkę, a nim mieli czas wynijść, zaczęto silnie bić we drzwi. Czuryłowie byli już na wschodach, Gronovius pośpieszył naprzód, Duran odryglowywał.

— Zgubiłem bańkę, rzekł głos ze drzwi.

— Wiem, odpowiedział Duran i nie będziecie mieli drugiéj.

— Płacę, zawołał wchodzący.

Czuryłowie poznawszy głos, zastanowili się

w lochu, Gronovius pośpieszył do drzwi, poszeptał coś i wszystko ucichło.

Książe odszedł.

Szlachta nie wiele pojmując co się w koło niéj działo, wyszła powoli do piérwszéj izby. Turkot powozu zapowiedział odjazd Księcia.

Zaledwie dobyli się z mieszkania dwóch czarnoksiężników, u wejścia spotkali mnóstwo osób ciągnących się tutaj: kobiéty zakwefione, panów z nasuniętemi na głowy czapkami, mieszczan, młode dziewice. Jedni pukali do drzwi, drudzy oczekiwali kolei, chroniąc się w ciemnych kątach kamienicy i unikając od siebie.

Między temi poznał p. Czuryło, panią Janowę zubożałą kupcowę, która obok Marcinowéj stragan miała, Agatę powiernicę Księżnéj, p. Pudłowskiego Senjora Bursy, znacznego między wielą swoją połamaną figurką, żyda Hahngolda przechadzającego się w ciemnéj galeryi i mierzącego okiem wchodzących i wychodzących.

Wszyscy niespokojnie poglądali na drzwi pracowni Durana i czekali kolei. Pan Krzysztof schodził z Łęczycaninem ze wschodów, spojrzał na sowę i zawołał.

— Utrapieńcy! ot co ludu czeka na ich rady i wróżby. Gdyby mi tak pięknie za mieszkanie nie płacili, nigdybym ich tu nie trzymał! A w nocy jak poczną smażyć to śmierdzi na cały dom, tak że wszyscy moi sąsiedzi się skarżą. Osobliwsza, czém oni tak smrodzić mogą, bo te zapachy do niczego niepodobne?

— A wiecie że i ja byłem u nich, rzekł Łęczycanin.

— No! a tyż tam po co.

— Radziłem się na nogę.

— Cóż ci dali?

— Plaster bardzo skuteczny, a jacy grzeczni, częstowali piwem, niezłe nawet, gawędziliśmy długo. Prawda że ten mniejszy trochę brzydki, ale co skuteczny to skuteczny człowiek! Noga się zgoiła za trzy dni.

— Czy tylko nie wyśpiewałeś im czego?

— Za kogoż mnie to macie?

I zeszli razem w ulicę, kierując się do bliskiéj Garkuchni.

PAPIERY.

W zamku Księcia Sołomereckiego, nowe przygotowania do podróży, słudzy wszyscy na nogach, konie wyprowadzając siodłają, zaprzęgają, a zgraja żydów lichwiarzy, pijawek czarnych kręci się w dziedzińcach. Książę zawsze potrzebny pieniędzy, przywykły tak do wystawnego i marnotrawnego życia, że odmienić go już nie mógł; w gorączkowém tém zaje-

— Czy tylko nie wyśpiewałeś im czegoś?

— Za kogoż mnie to masz?

I wszedł razem w aleję, kierując się do bliskiéj Garkuchni.

VII.

W mieszkaniu Księcia Sołomereckiego, nowe przygotowania do podróży, słudzy wszyscy na nogach, konie wyprowadzając siodłają, zaprzęgają, a zgraja żydów lichwiarzy, pijawek czarnych kręci się w dziedzińcach. Książe zawsze potrzebny pieniędzy, przywykły tak do wystawnego i marnotrawnego życia, że odmienić go już nie mógł; w gorączkowém tém znie-

cierpliwieniu oddaje ostatnie klejnoty w zastaw, pamiątki po ojcu, pamiątki po matce. Chmara żydów ciśnie się do izby, gdzie starszy dworzanin zawiera te wstydliwe i upokarzające umowy. Jedni rozpychają drugich, kłócą się, bo każdy chce zyskać; dają się bić, bezcześcić, łajać, a nieustępują.

Książe, z obojętnością wielkiego pana nie patrzy, nie dowiaduje się nawet, wydobywa klejnoty, spoziera na nie bez łzy w oku, bez żalu i oddaje, obelgami obsypując lichwiarzy, których sam wezwał. Potrzeba mu pieniędzy na drogę, ostatnie sposoby dostania ich wyczerpał, przyjaciele pożyczać nie chcą; udał się do żydów.

W kąciku Kampsor Hahngold rozpatruje kutas pereł i pierścień z szafirem; dalej drugi waży srebrną złocistą nalewkę z miednicą. Na dworzanach księcia czyni to wrażenie nie miłe, szepcą między sobą, oglądają się, wahają.

— Słuchaj Miklasiu, mówił starszy jeden

do młodzika w zielonéj barwie, coś tu się u nas źle święci. Ostatki żydzi biorą.

— A co nam do tego.

— I bardzo Miklasiu! To pachnie ruiną i nędzą, ostatki! a potém może i chléba zabraknąć. Trzeba o sobie myśleć.

— Ja myślę, że jeszcze pora, nic nie nagli, będzie miał piéniądze.

— A! będzie, ale czy to te piéniądze wystarczą na długo? Żydowski grosz, to się rozłazi prędko, rzekłbyś że się śpieszy powracać do nich nazad. I za te kutasiki, nie wiele go dostanie, bo żyd inaczéj jak połowy wartości nie da.

— A więc cóż?

— Trzeba o sobie myśleć. Ja podobno konia wziąwszy i jurgieltu zapomniawszy, drapnę szukać innego pana.

— Powiedz że i mnie, kiedy; to i ja z tobą. Inny, podsłuchawszy rozmowy, przysunął się.

— Nie śpieszcie się, panowie bracia, fortuna

jeszcze się do nas obrócić może. To jest *casus* ekstraordynaryjny, wygramy bitwę z Księżną Jejmością i będziemy bogaci.

— Jeżeli wygramy.

— To nie ulega wątpliwości.

Obcy jakiś wsunął się między dworzan.

— Panowie bracia, należycie do dworu księcia Sołomereckiego.

— Tak jest.

— A nie życzylibyście sobie, odmienić pana?

— Czemuż nie, jeżeliby się co dobrego nadarzyło.

— Wyśmienitego, nadarzyć się może.

— Cóż takiego?

— Księżna Sołomerecka potrzebuje dworzan dla siebie i syna, podwójny jurgielt da i barwę, a kto wié, co daléj. Za wierne usługi. U niéj obietnica święta i jest z czego otrzymać.

Starszy się oburzył.

— Księżna! nieprzyjaciółka pańska.

— Ba! mości panowie, a cóż *wam* uczyniła?

— I bardzo wiele, z jéj przyczyny, nasz książe goły tak, że jurgieltu zapłacić nié ma z czego, a na drogę klejnoty zastawia.

— Któż mu winien, wszak Księżna Jejmość dawała mu majątek, gdyby tylko chciał jéj dziecka nie prześladować.

— I nie przyjął?

— Ani chciał słuchać. A przytém Księżna swoim dworzanom, mogła by dać jakąś gratyfikacją, co by załatało, ten niewypłacony jurgielt.

— Doprawdy?

— Ja myślę?

— Wy od niéj jesteście?

— Nie, proszony tylko o wyszukanie. Myślałem że widząc co się tu dzieje, zechcecie może zapewnić sobie bezpieczniejszą przyszłość.

Dworzanie poczęli z sobą umawiać się.

Wieść jak błyskawica przeleciała między niémi; starsi, za niémi młodsi poczęli wahać się; a gdy raz przypuścili możność porzucenia

Księcia, myśl ta coraz się wszelkiemi okolicznościami utwierdzała. Niektórzy pozabierawszy swoje szkapy ze stajni, wybierali się jechać.

Starszy złapał ich we wrotach.

— Dokąd mości panowie? dokąd?

— Nié ma tu już co robić pono, jedziemy szukać służby.

Jak tylko jeden odważył się to wyrzec, reszta poszła za nim. Nieznajomy czekał z obojętną twarzą niedaleko wrót. Starszy pobiegł do Księcia.

— Dwór W. Ks. Mości, zawołał, zdyszany, dworzanie.

— Co się stało?

— Odjeżdżają.

— Jak? dokąd?

— Rzucają służbę.

— Z jakiego powodu? To być nie może.

— Bóg wié, zapewne zlękli się dzisiejszéj rannéj z żydami sprawy.

— Podli! rzekł bledniejąc Sołomerecki dum-

nie, niech jadą na złamanie karku! Nie wstrzymywać ich, zapłacić jurgielt ostatniemi.

I zaciął zęby, oczy mu się zaiskrzyły, padł na krzesło blady.

— Słyszysz W. Mość, ostatkami im opłacić, nie chcę ich teraz, znajdę innych, nie chcę gdyby mnie na klęczkach prosili. W tém jest czyjaś podmowa. Idź.

Starszy wyszedł i nawołując wyjeżdżających z podwórza.

— Mości panowie bracia, rzekł, za pozwoleniem. Książe Jegomość, kazał mi wam jurgielt opłacić na was i na konie, proszę do mnie.

Ta niespodziewana wiadomość, zachwiała dworzany, porzucali konie, poszli odbierać pieniądze, kilku sądząc że się omylili i wstydząc swojego kroku chcieli pozostać. Starszy oznajmił że ma polecenie odprawić ich. Inni wierni Księciu nie myśleli nawet o odjeździe; ale takich kilku tylko pozostało, reszta wysunęła się za wrota z nieznajomym, który ich

poprowadził z sobą; szepnąwszy coś Hahngoldowi. Żyd pobladł, zamarmotał coś do drugich żydów, a lichwiarze w oka mgnieniu porzuciwszy jeszcze nie otaksowane klejnoty i nie chcąc już w żadną wchodzić umowę ustąpili. Starszy pobiegł do Księcia.

— M. Książe, żydzi traktować nie chcą.

— Co się im stało?

— Nie pojmuję! nie rozumiem, poszeptali coś z sobą, porzucili umowy i poszli.

— Wszyscy?

— Wszyscy. Książe osłupiał.

— W tém jest jakaś sprawa szatańska. Piéniędzy! piéniędzy i jechać! Muszę śpieszyć, oni to dziecko przekleństwa uwiozą znowu! Do Litwy, do Litwy. Rób W. M. co chcesz, a dostań mi piéniędzy.

— Nie wiem co mam robić, nie pozostało nic; gdy żydzi odmawiają.

— Innych wezwać.

— Było ich przed chwilą więcéj niż potrzeba teraz nié ma ani jednego.

— Ale z jakiegoż powodu?

— Niepojmuję.

— Może warunki?

— Ja nie podawałem żadnych, wedle dyspozycij W. Ks. Mości, godziłem się na proponowane przez nich.

— Cóż ich odstręczyło? to coś jest?

— Jest, ale niepojętego!

Książe uderzył o stół pięścią.

— Wyjeżdżać, zawołał.

— Ale to nie podobieństwo!

— Wyjeżdżać mówię!

— Dworzanie uszli.

— Mniejsza o to, wyjeżdżać, wyjeżdżać!

— Nié ma pieniędzy.

— Wystarczy tych co są.

— Opłacone za rozkazem W. Ks. Mości jurgielta.

— Wszystko wyszło?

— Do grosza, nawet dla dwóch zabrakło.

— Sprzedaj WPan co chcesz. Wyjeżdżać, muszę dziś wyjechać.

— Ale cóż sprzedamy?

— Zastaw WPan duszę, krzyknął Książe w gniewie, a dostań pieniędzy; potém rzucił się do papieru i pióra, prędko napisał słów kilka do Piotra Zborowskiego i kazał wysłać dworzanina do niego.

Gdy się to dzieje, zrozpaczony, i zniecierpliwiony Książe, przechadza się po izbie kroki wielkiemi, głowa mu płonie, miesza się, klnie, niepokoi. Sto razy pyta czy nie wrócił posłaniec od Zborowskich. Nareszcie, przyjechał.

— Przywiózł pieniądze?

— List tylko!

Nie czytając, rzucił go na podłogę, oczy mu się roziskrzyły, zapaliły, zęby zgrzytnęły.

— Przyjaciele, zawołał, przyjaciele, niech ich szatan zdusi!! Rodzaj gorączki, rodzaj obłąkania opanowywa go, nie wié co począć.

— Wyjeżdżać, woła, wyjeżdżać, konie, powóz, sprzęty, sprzedać wszystko, pojedziemy we dwóch, we trzech, a wyjeżdżać, wyjeżdżać!

Nie mniejsza niespokojność w gospodzie Księżnéj i u pp. Czuryłów, ta o synu zwątpiła, chce posyłać za nim; ci namawiają się co począć, młodszy wybiera się sam w drogę. On to odmówił dworzan Księcia i przyjął ich dla Anny, sądząc że tym sposobem wstrzyma wyjazd jego, on szepnął żydom słowo czarodziejskie, które wstrzymało pieniądze. Ale i to nie pomogło zupełnie.

— Potrzeba go uprzedzić, rzekł młody Czuryło, jest nas kilku, wszystko gotowe, jedziemy, a nim Książe przybędzie na dwór Sapiehy, już tam Stanisława nie zastanie.

To mówiąc, począł sposobić do drogi. Stary pomagał mu sam.

Z tłomoczka wypadł zwitek papierów zasmolonych długiém noszeniem po wierzchu, czerwonym sznurkiem jedwabiu związanych.

— Co to jest? spytał stary.

— A! to jeszcze pamiątka mojéj niewoli.

— Jaka?

— Wiosłując na galarze Tureckiéj pod Stam-

bułem, miałem za towarzysza i sąsiada, biédnego księdza przez zbójców morskich zabranego. Ten umierając oddał mi papiery jakieś, zaleciwszy abym za powrotem do kraju, komu należeć będą przesłał; mają bowiem posługiwać jakiejś rodzinie naszéj. Ksiądz był Polak podobno, lub przynajmniéj długim pobytem u nas spolaczały. Wracał z Rzymu, gdy go pochwycili zbójcy.

— Widziałeś te papiery? spytał stary.

— W niewoli musiałem ukrywać i przepatrzyć nié miałem czasu, wróciwszy nadto byłem sobą zajęty; miałem to kiedyś uczynić, późniéj.

— Zobaczmy lepiéj zaraz, przerwał stary, uderzony myślą jakąś szczególną.

— Zobaczcie ojcze, ja pośpieszę się w drogę wybierać.

Stary usiadł, rozwiązał sznurki, rzucił okiem nagle wykrzyknął.

— Jezu! Marja! Co za zrządzenie!

— Co to jest?

— Ty nie wiesz?

— Nic nie wiem.

— Papiery ks. Hansera! papiery Sołomereckich! Ksiądz powracający z Rzymu to był on!

— Kto taki?

— Ksiądz wysłany przez nich, dla legalizacii małżeństwa Księżnéj. Wygrana! wygrana! zwyciężyliśmy!

— Nie pojmuję. Cóż to są za papiery?

— Wszystko skończone, tryumfujem, rzekł stary chwytając czapkę i laskę. Chodźmy do księżnéj, do księżnéj.

I zdyszany Czuryło, nie mogąc pohamować swéj radości schwycił się na piérwszego konia jakiego mógł znaleśc pod ręką, poleciał.

Księżna Anna tylko co powróciła z kościoła, smutna słuchała opowiadania sługi, który o odmówieniu dworzan przez młodego Czuryłę, o spóźnionym wyjeździe Księcia zdawał jéj sprawę. Spostrzegłszy Czuryłów obu z twa-

rzą rozjaśnioną przybywających, nie wiedziała co myśleć.

— Czemu nie w drodze? spytała, on wyjeżdża.

— Nie wyjedzie jeszcze tak rychło, odrzekł młodszy.

— A tém czasem dobrą nowinę W. Ks. Mości przynosim.

— Jakąż? co się stało.

— Wielki i ważny a najmniéj spodziewany, nigdy nie przewidziany wypadek.

— Na Boga, cóż może być takiego?

— Papiery Ks. Hansera.

— Znalazły się, zawołała Księżna podbiegając.

— Najosobliwszym trafem, mój syn.

— Odzyskał je, jakim sposobem?

— Będąc w niewoli, był towarzyszem księdza Hansera, zmarłego jak się pokazuje na galerze Tureckiéj. Konając polecił papiery memu synowi. Ten ich nawet nie patrzał dotąd. Dziś, gdyśmy się w drogę wybierali, wypadły.

Spytałem, przejrzałem je. Oto są.

Księżna Anna płakała z radości.

— O! to opatrzność Boża nad nami!

— Ale, dodała po chwilce, potrzeba Księcia wstrzymać, to nic nie pomoże. Co począć z niemi.

Czuryło namyślał się chwilę.

— Radziłbym W. Ks. Mości, rzekł udać się z niemi do Firleja, pozwać Księcia przed sąd arbitrów, aby przy świadkach zmuszony był niezbitemi dowody uznać wasze małżeństwo i dziecię z niego urodzone. Spieszcie tylko aby nie wyjechał.

Natychmiast Księżna Anna, kazała zajechać kolasce, siadła i udała się do Firleja.

Zastała go, że to było rano jeszcze, w komnatach żony. Dziwny to był widok, starca cudzoziemskim strojem wykwintnie ubranego, siwego już i dobrze podstarzałego, obok świéżej i młodéj małżonki.

Była to jakieśmy rzekli wyżej, trzecia już żona Kasztelana, Mniszchówna z domu, lat

ledwie podówczas dwadzieścia licząca. Bogata, strojna siedziała z mężem panem u stołu, na którym ostatnie Kasztelana dziecię bawiło się wielkiém piórem strusiém.

Stary Kasztelan z uśmiéchem poglądał, na tę latorośl swego domu, a w jego wejrzeniu znać było dumy o przyszłości dziecięcia.

Księżna oznajmiona weszła.

— Cóż sprowadza miłą W. Ks. M. u mnie przytomność? spytał Kasztelan.

— Szczęśliwy traf, i prośba, odpowiedziała Anna.

— Bardzom rad, jeżeli jéj w czém usłużyć potrafię, odparł Kasztelan, mam bowiem na sumieniu zawiedzione W. Ks. M. nadzieje względem dziecięcia, któregom się opieki podjął.

— Nic się złego nie stało, moi to przyjaciele z Krakowa go wywieźli potajemnie, bez mojéj wiadomości, obawiając się napaści Księcia.

— Doprawdy? I gdzie się dziecię znajduje?

— Na dworze Fryderyka Sapiehy.

Firléj zagryzł usta trochę nie rad, ale prędko wracając do grzeczności uprzedniéj i uśmiéchu, spytał.

— W czémże W. Ks. M. użytecznym jeszcze być mogę?

— Cała moja nadzieja na was, papiery o które starałam się przez Nuncjaturę, już są w mojém ręku.

— Jakto? ktoś skuteczniéj odemnie wyjednał je?

— Nie, oryginalne papiery Ks. Hansera znalazły się dziwnym trafem. Towarzysz niewoli jego w Turcij; wyzwolony przywiózł. Oto są. Błagam was, wezwijcie do siebie Księcia, arbitrów; niech ludzie widzą, niech sądzą, niech się to wszystko nareszcie bez mego wstydu zakończy.

Kasztelan spoglądał na podane papiery przerzucił je i wstając.

— Będzie, rzekł, jak pragniecie, jutro wezwę do siebie wszystkich znajdujących się

w Krakowie panów braci Senatorów i znakomitszą szlachtę; wezwę Księcia, aby zmuszony był w obliczu ich uznać bratanka i późniéj retraktacij nie mógł już uczynić. Bądźcie spokojni. Cieszę się waszą pomyślnością z duszy i serca.

— Ale Książe jest na wyjezdném, goni w Litwę za biédném dziecięciem mojém, nie wiem czy go wstrzymać potraficie.

— Sądzę, że potrafię, rzekł dumnie Firléj. Wnet poślę do niego dworzanina z wezwaniem na dzień jutrzejszy, nie pisząc dla czego; a rozstawię moich ludzi, aby go z oka nie spuszczali i w razie upornéj woli wyjazdu, wszelkiemi sposoby wstrzymali.

— Jakże wyrażę moją wdzięczność?

— O! to ja powinienem dziękować, żeście mnie na tę poczciwą usługę wybrali. Bądźcie spokojni, rozpiszę wnet listy.

Dworzanie i paziowie Kasztellańscy stojący w bocznéj komnacie, natychmiast wezwani rozbiegli się po znajdujących w Krakowie pa-

nach Senatorach, zapraszając ich dla ważnéj sprawy na jutro. List z kancellaryi kasztellana, wezwał Księcia Sołomereckiego także.

Książe jeszcze się burzył opóźnionym wyjazdem swoim, gdy mu oddano, pod pieczęcią Firlejowską, grzeczne zaproszenie na dzień jutrzejszy; list nie wyrażał celu zgromadzenia, wymieniając tylko że na niém znajdować się mieli znakomitsi przytomni w Krakowie panowie bracia.

Sołomerecki rzucił go z początku obojętnie, ale dworzanin Firlejowski wymagał odpowiedzi koniecznie nalegając.

Namyślał się Książe. Nadzieja spotkania się u Kasztellana ze znajomemi, którzy pieniędzmy wesprzeć mogli: skłoniła go udać się. Jeden dzień opóźnienia, rzekł w duchu, nagrodzę pośpiechem w podróży.

Dał więc odpowiedź że się stawi i będzie. Roztawieni ludzie mieli go przez cały ten dzień nie spuszczać z oka.

Rozpisane listy na wszystkie strony, posłane

zostały, pp. Zborowskim nawet (jako przyjaciołom Sołomereckiego). A Łaskiemu, Ks. Uchańskiemu, Biskupowi Karnkowskiemu, kilku kanonikom Krakowskim i innym pp. Senatorom i szlachcie.

Gubiono się w domysłach nad celem tego zjazdu, przypisując mu znaczenie całkiem polityczne. Ciekawość, to uczucie tak silnie nawet najpoważniejszemi, najsurowszemi władające ludźmi, skłoniła wszystkich do stawienia się u Kasztellana. Nawet panowie Zborowscy otwarci nieprzyjaciele jego, nie odmówili swego przybycia, sądząc że ważne publiczne sprawy traktować się miały, a niechcąc by co bez nich postanowiono. Wieści o słabości króla, wcześnie gotująca się już nowego Elekcja, intrygi dworu francuzkiego i Kardynała Commendoniego nie czekające śmierci Augusta, dawały temu zjazdowi wszelkie podobieństwo, do politycznéj narady.

Tym czasem Księżna, która także kazała śledzić kroki swego nieprzyjaciela, dowiedziała

się z radością że wstrzymał swój wyjazd. Czuryło odłożył podróż na dni kilka, dwóch tylko jeden za drugim do Sapiehy wyprawując gońców z poleceniem młodemu księciu, aby się za odebraniem ich co najrychléj ukryć pośpieszył.

Szczęśliwe wynalezienie papierów udowadniających małżeństwo niezbicie, nie mogło wszakże zupełnie uspokoić Księżnę Annę, o przyszłość syna. Stryj uznawszy go, będąc do tego oczéwistością niezbitych dowodów przymuszony, mógł jednakże prześladować i czyhać nań późniéj jeszcze. Położenie jego majątkowe, grożący mu niedostatek, rozproszone resztki fortuny; przywodząc do rozpaczy, naturalnie wzbudzać musiały myśl pozbycia się Stanisława i tak już oddawna w nim wzrastającą.

Czuła to Księżna, a bardziéj jeszcze oba Czuryłowie, zwłaszcza młodszy, który wylawszy się cały na usługi Annie, coraz bardziéj gruntował się w zamiarze pozbycia Księ-

cia jakim kolwiek sposobem. Życie człowieka zdawało mu się małą ofiarą, w miarę spokojności, którą Księżnie i synowi jéj zapewnić miało.

Nazajutrz około południa poczty panów polskich, kolasy Biskupów, rydwany, konni, dworscy, paziowie, słudzy zajęli dziedziniec Firlejowskiego domu. Co chwila przybywali nowi, niektórzy nawet nie zaproszeni, ale ciekawi i pod różnemi pozory, chcący uczęstniczyć w tém, jak się im zdawało, zgromadzeniu celem narady o rzeczy publicznéj. Firléj uśmiéchał się po cichu z omyłki wszystkich.

Wielkie sale napełniały się dygnitarzami, Senatory, duchowieństwem, szlachtą.

Był to obraz wspaniały i wielki.

Szlachetnych i poważnych obliczów ludzie, po większéj części podżyli już lub starzy, w strojach tak malowniczych, pięknych i bogatych, zasiadali krzesła w wielkiéj sali pałacowéj, ozdobnéj w najbogatszy sprzęt, cały za granicą nabyty i dziwnie harmonijną jed-

ność składający. Od sklepień, których ostrza wypukłe były złocone, zwieszały się sznury złote z nanizanemi jajami strusiów. Sciany obite karmazynową w wypukłe złociste kwiaty materją, w ramach złocistych, kilka zdobiły obrazów. Były to portrety Królowéj Bony, Króla Zygmunta, Augusta, ostatniéj żony jego i kilku Firlejów, piękny obraz Matki Bożéj z dziecięciem Jezus staréj szkoły włoskiéj, z wiszącą przed nim złocistą lampą, zdobił główną ścianę, między dwoma oknami długiemi, wązkiemi, gotycko wyrabianemi.

Sprzęt pokryty był adamaszkiem karmazynowym, stoły, siedzenia białe ze złotem. Na wytwornych w kątach poustawianych szafach, błyszczały florenckie sztucznie wyrabiane kształtów wdzięcznych naczynia, posążki, puhary, szkła i osobliwości zamorskie. Wielki zegar po cichu szeptał w kącie, stojąc na wielkce ozdobnéj podstawie.

Zgromadzeni panowie kupkami podzieliwszy się, rozprawiali po cichu lub głośno, o nowi-

nach z Knyszyna, o kardynale, o jego namowach do wojny z Turcją, o wyprawach na wołoszczyznę i t. p.

Firléj wysławszy syna, wymówił się od przybycia i dotąd nieukazał. Ciekawość posunięta była do najwyższego stopnia, tém bardziéj, że nikt zaspokoić jéj nie mógł. Same tylko domysły krążyły, jedne dziwaczniejsze od drugich.

Osobno trzech Zborowskich, otoczeni przyjaciołmi swemi, rzucając kose wejrzenia na Firlejowych druhów, poszeptywali złośliwe czyniąc uwagi.

— Patrzcie, co za przepych! mówił Piotr do Andrzeja, nie darmo powiadają że Firléj na królestwo patrzy i królewskiego tylko zgonu czeka, aby się z tém otwarcie wydać. Kto by to rzekł niedawnemi czasy, kiedy jeszcze Firlejowie nosili ogony Królowéj Jejmości.

— Kto pożyje zobaczy! odparł Andrzéj.

Z wielkiéj chmury bywa mały dészcz zwy-

kle. Spadnie ta wielkość przybyszów maleńkim dészczem.

— I skończy na błocie, dodał ktoś inny. Wszyscy się rozśmieli.

— Patrzcie, rzekł Piotr, wskazując na Uchańskiego, co za polityk! Jaka układność, jakie wyrachowane postępowanie z katolikami i nami, jakie westchnienia gorące nad upadkiem wiary, jakie uśmiéchy ostre i obosieczne, gdy mowa o nas. A jednak był czas żeśmy go szczérze za swego rachowali.

— Ja i dziś przy tém obstaję, zawołał inny z boku. Niech się tylko powiedzie nam, a będzie z nami.

— A gdy się noga ośliznie.

— Piérwszy wyklnie.

— Slizki rachunek na takim człowieku.

— A bez niego obejść się nie podobna.

W rozmaitych kątach sali, rozmaicie też rozprawiano, domyślano się, czyniono uwagi; nie było wszakże pomimo ożywionéj rozmowy,

tego bezporządnego, tłumnego gwaru, jaki dziś każde liczniejsze znamionuje zgromadzenie.

Wszyscy utrzymywali powagę osobistą, imienia swego i urzędu. Najwięksi nieprzyjaciele, zamiast okazywania niechęci, zimną grzecznością, poważną utrzymywali surowość oblicza. Powitania były wyrachowanego i wyszukanego stopniowania, rozmowy wstrzemięźliwe, obejście pełne rozwagi. Każdy trzymał na wodzy: słowa, twarz, ruchy. Spojrzawszy na to piękne zgromadzenie najznakomitszych mężów, rzekłbyś z twarzy szlachetnych, z wytwornych ubiorów, z powagi ich, senat jakiego państwa, zabierający się roztrząsać ważne sprawy krajowe.

Jednemi drzwiami wszedł na salę Książe Sołomerecki, którego pociągnęli ku sobie Zborowscy, drugiemi kasz'ellan Firléj.

Książe skromnie ubrany, zawsze z tą dumną postawą, z tém wejrzeniem wzgardliwém, głową podniesioną', wargą zaciętą; nosił jednak w twarzy ślady świéżego cierpienia, trosk

i gryzącéj go niespokojności. Gęste marszczki zwiastuny bezsennych gorączkowych dumań, porysowały mu blade policzki i czoło. Kasztellan miał oblicze pogodne, jasne i wesołe, ubrany wytwornie, z młodzieńczą prawie troskliwością o siebie, wymuskany, uśmiéchający i wszedł witając swych gości z kolei, ze zwitkiem papierów pod ręką.

Po piérwszych kilku słowach przeproszenia, po ściśnieniu rąk, pokłonach, zapytaniach o zdrowie, o familje i t. p. Kasztellan wznosząc zwitek, sprosił znaczniejszych wymieniając ich po nazwisku do stoła, na którym rozłożył papiéry.

Ciekawość rosła, wesołe oblicze Firleja chmurzyło czoło Zborowskim, pytali się siebie wszyscy, co to ma znaczyć?

Skąd ta wesołość i dla czego?

Między wezwanemi do stołu byli pp. Zborowscy; nieco udobruchani, zbliżyli się, gotowi wszakże opierać Kasztellanowi, jeśliby chodziło tylko o coś przyszłość obchodzącego. Już

oni naówczas ufni w pomoc kardynała osnuwali swój zamiar pochwycenia przemocą starca Krakowa, wyrywając go z rąk Firlejowi.

— Nie dla żadnéj sprawy publicznéj, począł złośliwie uśmiéchnąwszy się Kasztellan, dozwoliłem sobie wezwać tu panów i miłych braci.

— A to coś osobliwego! dla swojéj więc zabawki! mruknął Zborowski stawiąc marsa. Patrzaj go, już na króla zakrawa!

— Ale są, mówił daléj Firléj, sprawy prywatne, które czasem do ważności publicznych się zbliżają; obchodzą wszystkich lub obchodzić powinny. Niezgody familijne, prześladowania wzajemne osób krwią blisko połączonych, są klęską któréj szczęśliwy kto zapobiedz może. Właśnie jedna to z podobnych okoliczności, zmusiła mnie, prosić wszystkich tu przytomnych, za sędziów i pośredników. Sprawa to nie moja, ale mojéj opiece oddana, wywięzuję się z opieki nad sierotą.

Zadziwienie coraz się powiększało, a Firléj ukazując na papiery, tak mówił daléj.

— Rodzina zacna Ks. Sołomereckich.

Książe pobladł i oczy mu zajaśniały.

— Rodzina zacna Ks. Sołomereckich, znajduje się właśnie w smutném położeniu; z którego pragnąc wynijść wdowa i sierota wzywają sądu i sprawiedliwości naszéj.

— Nie rozumiem aby kto miał prawo mieszać się do tego, co między mną a siostrą być może, przerwał zbliżając się książe, nie uznaję nad sobą żadnego sądu. W téj sprawie ja sam i ja sam jeden, jako głowa rodu stanowię.

— Zdacie się przecie, rzekł zwracając ku niemu z grzecznością Firléj, na zdanie przytomnych nas, ludzi nieinteresowanych, bezstronnych i życzących dobrze zarówno wam jak Księżnéj JMości.

— Pozwólcież mi przynajmniéj podstępnie przed ten Areopag zapozwanemu, samemu swoją sprawę wyłożyć, dumnie zawołał Książe.

— Z największą chęcią, słuchamy was odpowiedział Firléj, prosiémy.

Książe postąpił jeszcze bliżéj i sparłszy się o stół, tak mówić począł:

— Wiadomo tu zgromadzonym, lub niewiadomo być może, iż ojciec mój, nad córką brata swego Anną, miał opiekę. Ja byłem wysłany naówczas za granicę, gdziem we dworach Cesarza Ferdynanda i innych Książąt i panów Niemieckich rycerskiéj sprawie się przypatrywał. Za powrotem moim do kraju, ojca już nie zastałem, brata mego nie znalazłem w życiu, siostra na dworze królowéj matki. Ale cóż, siostra ta z dziecięciem, która powiada być mi bratankiem, utrzymując że zaślubioną została bratu memu, gdy dowodów małżeństwa tego nié ma żadnych, gdy dziecię podstawione widocznie, a cała ta powieść stworzona, aby zakryć jakieś przewinienie i dom nasz zbezcześcić, wprowadzając weń cudzą krew, na którą spada najlepsza część majętności naszych. Małżeństwa tego mniemane-

go dowodów nié ma i być nie mogą, dziecię nie prawe. Ratując poczciwe imie nasze, chciałem podrzutka tego oddalić.

— Lecz, dorzucił Firléj, gdyby małżeństwo udowodnione zostało niezbicie?

— To być nie może.

— To jest, zawołał Kasztellan. Oto dowody z Rzymu przywiezione. Niech Arbitrowie sądzą je i powiedzą, zostaje li najmniejsza wątpliwość. Gdyż dodał w razie wątpliwości ja sam połączyłbym się z wami i podzielił szlachetne oburzunie przeciw matce dziecięcia.

To mówiąc, Firlej podał papiery Ks. Uchańskiemu, Karńkowskiemu, którzy je z uwagą rozpatrzywszy, podali w koléj.

— Niech że ja widzę te dowody! zakrzyczał niecierpliwie Sołomerecki. Skąd one? muszą być podrobione, to być nie może, ja ich nie uznaję.

— Uznacie gdy tylko przejrzéć zechcecie, rzekł podając mu je Łaski, przekonacie się sami.

Wszystkich oczy zwróciły się na Księcia, który z złością widoczną porwawszy papiery miął je w ręku, ozierał, czytał, a nareszcie rzucił.

— Tak, rzekł z gniewem, dowody są, to dziecię jest dzieckiem mego brata. Być może, być może! Uznaję.

— A zatém, dodał Firléj, wszelkie prześladowanie ze strony W. Ks. M. dotąd usprawiedliwione, ustać powinno. Co więcéj zdałoby się nam, *casi* W. Ks. M. biédną siostrę pokrzywdzoną i zapoznaną tak długo, powinien —

— Co chcecie mówić? zapytał burzliwie Sołomerecki.

— Należałoby się pojednać.

— Ja, z nią!! zawołał Książe, nigdy!

— Cóż przeciw niéj macie? spytali kilku.

— Co! zostawcie to mnie, odpowiedział. Nic nié mam! nic! nic! ale przepraszać ją, przejednywać, mnie! Ja! wy mnie nie znacie.

— Owszem jako szlachetnego męża, jako

człowieka który sądził się w obowiązku strzedz nieskazitelności imienia swego, ale dziś.

— Dziś, jam przekonany! osądzony! śmiejąc się gniewnie rzekł Sołomerecki, tak, w oczach wszystkich was, winny.

Pani bratowa chciała moje upokorzenie uczynić publiczném: i tego jéj nie daruję.

— To ja uczyniłem, rzekł Firléj, ona nie chciała, jam doradził, jeśli jest wina, to moja; ale żądałem by dziecię to nie przez was jednych, ale dla uspokojenia waszego w obliczu wszystkich uznane zostało tak, jak je wprzódy uznał pan nasz Król JM.

— Król JM. odparł Sołomerecki, mógł je uznać dla staréj z księżną znajomości. Ona tak przypomina twarzą Radziwiłłównę!

Wszyscy oniemieli, on śmiał się złośliwie.

— Uznajecie więc, rzekł Firléj, małżeństwo brata i dziecię jego.

— Muszę, a więc uznaję, choć w gruncie

wiem co myślę o tém! Tak, uznaję —żądacie, zgoda.

— My żądamy tylko szczérego przekonania waszego. Rozpatrzcie dowody lub poleććie je rozpatrzéć komu.

Papiery z kolei przechodziły z rąk do rąk i wszyscy musieli je przyjąć za ważne.

— Jakkolwiek bądź, dodał Firléj, ja obstaję przy chęci pojednania was, owszem polecenia wam dziecięcia, które odtąd staje pod opieką waszą.

Zrzućcie z serca długie podejrzenia i niechęci.

W tém, otwarły się drzwi i wprowadzona przez Firlejową, ukazała się w żałobnéj sukni, blada księżna Anna.

Sołomerecki cofnął się, wziął czapkę i posunął ku drzwiom cały w gniewie jeszcze, Kasztellan go powolnie zatrzymał.

— Mości Książe, rzekł, pozwólcie się przejednać, zapomnijcie przeszłości.

— Chcecie abym do dna przygotowany mi przez was wstyd wypił.

— Jest li to wstyd, uznać swoją omyłkę?

— Bracie! zawołała postępując Księżna, bracie, po tylu latach, czyż nieprzebaczysz mi jeszcze! mnie com zniosła z twéj przyczyny tyle! dziecku, którego pieszczot wyrzec się musiałam dla ciebie – Książe.

— Dziecko, uznałem, małżeństwo ważne, rzekł chmurno brat, czego odemnie możecie więcéj żądać? Wstyd mój postawiliście wysoko, aby go wszyscy widzieli, pożądaliście okryć mnie w oczach świata sromotą. Zrobiliście czego pragnęli, dokonali, cieszcie; ale nie żądajcie nic więcéj, i nie nazywajcie mnie bratem.

Księżna stanęła, on się odwrócił znowu do drzwi, duchowni poczęli go tamować i umawiać; opierał się.

— Nigdy, nigdy, rzekł. Zrobiłem wszystko czego było potrzeba, więcéj, nigdy.

— Mój syn, zawołała Anna, ja w jego imie-

niu, chcemy ten dzień dla nas wielki uświęcić pamiątką, proszę was przyjmijcie od nas ten dar.

— Dar! od was! Jeszcze jedna sromota do zniesienia, ja nic potrzebuję niczego od was! niczego! Rozumiecie!

I podany przez Annę papier rozdzierając, zdeptał go nogami, plunął nań z pogardą.

Ten nieugięty upor, napróżno starali się przełamać przytomni, zdawało się, że coraz bardziéj rozżarty uwagami ich, prośbami, łagodnością księżnéj, wpadł w zajadlejszą zawziętość.

Zborowscy przyjaciele, odstąpili nawet zaciętego, i wkrótce sam jeden u drzwi pozostawszy rzucił się z nich gwałtownie, uciekając bezprzytomny, oszalony. Dopadł swych koni w podwórzu i popędził zgrzytając zębami.

BÓJ.

Już miał wysiadłszy z kolasy wnijść na próg swego domu książe, gdy zastępujący mu drogę mężczyzna stanął we drzwiach tak, że przejście zaparł.

— Precz z drogi! zawołał, popychając gwałtownie Sylomerenia.

Nieznajomy okryty płaszczem po oczy, nie ustąpił i kroku, oparł się mocno o mur, głową o drugi, zakołysał, mu rzekł.

nie. [illegible] tam [illegible] dla nas wielki [illegible] pamiątkę, proszę was przyjmijcie od nas [illegible]...

— Dal od was! [illegible] jakby [illegible] do rozpaczy, ja nie potrzebuję niczego od was! niczego! Rozumiecie!

I podarty przez siebie papier [illegible], zdeptał go nogami, plunął nań z pogardą.

Tym nieugiętym oporem, [illegible] starał się przekonać przyjaciół [illegible], że coraz bardziej [illegible] [illegible] prośbami, łagodnością [illegible], wpadł w najzłośliwszą zawziętość.

Zbawszy przyjaciół, odstąpił nawet [illegible], i wreszcie sam jeden w [illegible] pokojowy [illegible] zamknął się z nimi gwałtownie, [illegible] bezprzytomny, zarażony. Dopadł swych kąt w [illegible] i [illegible] [illegible] rękami.

VIII.

Już miał wysiadłszy z kolasy wnijść na próg swego domu książe, gdy zastępujący mu drogę mężczyzna stanął we drzwiach tak, że przejście zaparł.

— Precz, z drogi! zawołał popychając gwałtownie Sołomerecki.

Nieznajomy okryty płaszczem po oczy, nie odstąpił i kroku, sparł się nogami o uszak, głową o drugi, rozkrzyżował, nie ruszył.

— Precz! precz! powtórzył popychając go silniéj książe i odwracając do sług.

— Słówko, Mości Książe.

— Czego ten chce odemnie?

— Nie przejdziesz W. Ks. Mość, póki nie pomówisz ze mną.

— Któż ty jesteś?

Młodszy Czuryło, (on to bowiem był) odpowiedział z przyciskiem.

— Przyjaciel Księżnéj pani.

— Czegoż chcesz? na życie moje zastawiłeś się tu?

— To być może.

— Więc bierz je, zakrzyczał Sołomerecki.

— Nie tak M. Książe jak myślicie. Nie odrzucam ofiary, ale nadstawiam swoje za wasze.

— Ty! za moje! nowa obelga — sługa!

— Nie jestem sługą niczyim — szlachcic i wam równy.

— Mnie równy! Mnie równi są tylko Radziwiłłowie i Ostrogscy, hołyszu.

Za tą odpowiedzią, silny policzek Czuryły wślad, dał się słyszeć.

Niepodobna opisać zajadłości z jaką Książe rzucił się krzycząc na szlachcica, nie miał czasu dobyć szabli, z gołą ręką, wściekły puścił się nań, porwał go w pół i rzucając o ziemię, nogami zdeptał.

Kilku dworzan, zdaleka w milczeniu poglądali na ten bój dziwaczny. Czuryło podniósł się w mgnieniu oka z dobytą szablą, Książe swoją z pochew wyrwaszy, przypierał go do ściany wązkiego przejścia, w którém się znajdowali.

Zacięta walka, rozpoczęła.

Szable obcinały i szczerbiły co chwila, suknie padały na nich w kawałki porąbane, krew ciekła; a oni nie ustawali. Czuryło zbity upadkiem, w piérwszéj zaraz chwili ranny, bił się jednak mężnie; Księciu dolawało sił wspomnienie świéżéj, krwią chyba zatrzeć się mogącéj obelgi.

Kilka chwil w tém półcieniu migały tylko

szable, słychać było zdyszany oddech walczących, uderzenia broni, i wykrzyki urywane. Nikt nie śmiał wmięszać między nich. Czuryło oglądał się, bo uczuł jak słabiał.

— Do mnie! moi! zakrzyczał.

— To zasadzka! wołał Sołomerecki, to zdradziecki podstęp bratowéj!

Nadbiegł Pieniążek z Łęczycaninem, ale tych wstrzymali we drzwiach z dobytemi szablami stojący dworzanie Książęcy. Tym czasem, osłabiony szlachcic, usiłując co prędzéj skończyć, ostatka dobywając sił, ciął raz po razu Księcia, który szybkości uderzeń nie mogąc się zasłonić, przechylił się nareszcie i upadł pośliznąwszy na wznak.

Czuryło przeciął mu głowę i prawie w téj saméj chwili, pochylił się sam, oparł o ścianę i mdlejącym głosem, zawołał.

— Ratujcie!

Usłyszawszy padającego, dworzanie posunęli się w korytarz, za niémi Pieniążek i Łęczycanin, który wołał.

— O! o! nawarzyliśmy pięknego piwa!

Widząc pana we krwi broczącego, rozjuszeni ludzie, nastąpili z szablami na omdlałego zabójcę i byli by go rozsiekali w sztuki, gdyby nie oparli się im dwaj pomocnicy. Pieniążek walczył, gdy Łęczycanin, usiłował na ramiona Czuryłę wziąść.

Ale byliby temu nie dali rady, gdyby nie przybycie starego ojca, który dowiedziawszy się o wyjściu syna, niespokojny, przeczuwając z jego mowy zasadzkę, pośpieszył na miejsce.

Okropny widok zabitego Księcia i wpół żywego, bo ledwie znaki życia dającego Czuryły, obłąkał starca. Rzucił się na oślep, siekąc pana Pieniązka i Łęczycanina, wziąwszy ich za nieprzyjaciół.

Ledwie go pohamowano przecie i opierając się sługom księcia, uniesiono trupa z domu. Na płaszczu pana Pieniążka wyciągnięty, z zamkniętemi oczyma, zbroczony krwią, młody obrońca Księżnej zdawał się dogorywać. Nie-

kiedy tylko konwulsyjne drgania dowodziły jeszcze w nim życia. Za niosącemi ciało szedł ojciec spłakany, z załamanemi rękoma, z suchą powieką, w odzieniu potarganém, sam ranny lekko i okrwawiony cały.

Dworzanie Księcia Sołomereckiego, podnieśli pana i położyli w piérwszéj izbie na łożu. Jeden z nich pośpieszył po felczera żyda w pobliżu mieszkającego.

Ten nadbiegł, ale wziąwszy puls, przyłożywszy rękę do serca, zwierciadło do ust, pokiwał tylko głową.

— Po co ja tu! on zabity, rzekł obojętnie.

— Zabity! powtórzyli ludzie spoglądając na siebie, piekielna myśl przeleciała im głowy. Rzucili się do domu, zabierając co jeszcze pozostało, co kto mógł pochwycić, wywodząc konie, zabierając suknie, klejnoty, wszystko. Jeden tylko stary sługa opierał się temu rabunkowi okropnemu w obliczu pana martwego, skrawionego i sinego, leżącego w pustéj izbie, ogołoconéj ze wszystkiego. Ale jeden przeciw

wszystkim nic nie mógł; z rozpaczą biegał od jednego do drugiego, zaklinał, prosił, groził, łajał, nic nie pomagało, odpychali go, a w ostatku zamknęli na klucz w ostatniéj izbie. Potém zajadle śpiesząc, waśniąc się, krzycząc, gromadząc, ładując tłómoki, jeden po drugim dosiadali koni w podwórcu i uciekali.

Obraz to był dziwnych i przerażających barw. Ten trup cały we krwi i ranach, w nagiéj izbie, ta hałastra rabująca pozostałość: zimna, obojętna, chciwa, wynosząca się z pośpiechem; ten ostatni, jedyny sługa wierny, zamknięty, i w rozpaczy rwący sobie włosy z głowy, dobijający się do drzwi, wołający pomocy z okna, którego kraty obejmował sinemi rękoma.

A w ulicy niedaleko drugi orszak żałobny, syn na płaszczu niesiony, ojciec idący za nim w rozpaczy, bezprzytomny jak pijany, słaniający się i zataczający od muru do muru. Jeszcze nie doszli byli do mieszkania p. Czuryły, gdy kolasa księżnéj i jéj ludzie, wraca-

jąc od kasztelana Firleja, spotkali się z panem Pieniązkiem i Łęczycaninem, niosącemi rannego.

Księżna Anna poznała starego Czuryłę i niespokojna kazała wstrzymać konie.

— Co to jest? co się wam stało? zawołała.

Na dźwięk tego głosu, ranny otworzył oczy ujrzał Annę i podnosząc się na ręku wybełkotał sił ostatkiem.

— Zabity, bądź spokojna o syna, zabity.

— Kto zabity? kto?

— Kogoś zabił, jakiegoś księcia! rzekł Łęczycanin, bo stary Czuryło nic nie widział i nie słyszał.

— Panie Łowczy, zawołała Księżna, na Boga powiedzcie mi co to jest?

Stary głowę podniósł, popatrzał obłąkanym wzrokiem do koła.

— Syn mój, rzekł, syn.

— Kto go ranił?

— Bił się z Księciem.

— Z księciem, a Książe.

— Nie wiem, bezprzytomny, zabity.

— Książę zabity.

Anna nie mogła pojąć tych wypadków, tak szybko po sobie następujących; w głowie jéj się mięszało. Rozesłała swoich sług szukać lekarza dla Czuryły, sama nie wiedziała czy jechać do siebie, do nich, czy do Księcia. Wreszcie wskazała sługom do domu. Ciało ponieśli daléj, gdyż młodszy Czuryło znowu omdlał, i potrzebował śpiesznego ratunku.

Pan Piéniążek zajął się natychmiast wszystkiém; widząc ojca w takim stanie, że raczéj sam pomocy wymagał i opieki, niżeli by ją mógł dać komu.

A że bliżéj znajdowała się kamienica pana Krzysztofa, tam więc zawrócono się z Czuryłą, i złożono go u Gronoviusa. Lekarz zajął się pilnie rannym, z pomocą Durana obmył rany, opatrzył je, zalał balsamem i zaleciwszy cichość i spoczynek, dozwolił do wieczora pozostawić u siebie. Stary ojciec płakał chwytając ręce

lekarzy naprzemian i pytając ich bez ustanku.

— Będzie żył? czy wyżyje?

— Wedle wszelkiego podobieństwa, odparł Gronovius, rany nie są niebezpieczne, nié ma żadnéj ważnéj; ale liczne cięcia, utrata krwi wielka. Spokojności, czasu! Stary złożył ręce i siadł spokojniejszy w głowach synowskiego posłania.

Tym czasem Księżna posłała do mieszkania brata, potém do Czuryłów, nareszcie oznajmując o wypadku do Kasztelana.

Doniesiono jéj, że Książe nie żyje, reszta sprzętów i co było z nim rozszarpano, dwór się cały rozbiegł. Natychmiast posłani dworscy księżnéj, zamówieni duchowni, i obmyślano wszystko, co do przystojnego pogrzebu potrzebném być mogło.

Kopnicy już przybyli wprzódy, czuwali dokoła ciała; urząd zaś szukał zabójcy i rozesłał chwytać zbiegłych rabusiów. Należało co najrychléj uwieźć p. Czuryłę, ale to było niepodobném, z powodu ciężkich ran jego.

ZAKOŃCZENIE.

Zbliżamy się do końca naszéj powieści, nie pozostaje nam tylko kilka słów jeszcze powiedzieć o losie osób, któreśmy w ciągu jéj poznali.

Z pomocą [illegible] i Starosty [illegible], wy- [illegible]

IX.

Zbliżamy się do końca naszéj powieści, nie pozostaje nam tylko kilka słów jeszcze powiedzieć o losie osób, któreśmy w ciągu jéj poznali.

Z pomocą Kasztellana i Starosty Firleja wynalezieni i zatrzymani zostali dworzanie zbiegli Księcia, ich świadectwo choć nie ze wszystkiém uniewinniło pana Czuryłę, okazało się,

że chciał walki, że do niej wyzwał obelgą wprawdzie, ale sam na sam walcząc uczciwie; ranny niebezpiecznie w pojedyńczej walce, nie w zasadzce, położył Sołomereckiego. Ukryty u Gronoviusa i Durana, przyszedłszy do siebie, wywieziony został na Ruś przez ojca, który się na zawsze także z Krakowa oddalił.

Książe Stanisław nic nie wiedząc o tych wypadkach, bawił ciągle na Litwie u Sapiehów; przybycie matki, która uspokojona o niego pośpieszyła połączyć się z dziecięciem; wróciło mu swobodę, nazwisko i postawiło go na właściwym stopniu. Pamiętny opieki Sapiehów, z wdzięcznością porzucił ich dwór, udając się na Ruś, skąd później wyjechał wedle zwyczaju za granicę, dla spędzenia młodości na dworach cudzoziemskich, na gonitwach, turniejach i dobrowolnych wyprawach wojennych.

Los jego przyszły, nam nie wiadomy.

W rok po opisanych wypadkach, Księżna Anna z podziwieniem powszechnem oblekła suknię zakonną; nikt nie mógł pojąć powodu

tego poświęcenia, lecz szeptano po cichu, że ofiarowała rękę swoją obrońcy i przyjacielewi młodości, a ten ją z szlachetną bezinteresownością, jako nagrodę, któréj godzien nie był, odrzucił.

Co się późniéj stało z nim? nie wiemy także. Pochowawszy ojca, puścił się w świat; służył zapewne ochotnikiem za granicą, gdyż w kraju niesłyszano już o nim.

Pani Marcinowa z panią Janową siedziały długo: jedna w zielonym swoim straganie, druga w budce nie malowanéj, na Rynku Krakowskim. Marcinowa wydała córkę za bogatego mieszkańca i kupca, a nareszcie podstarzawszy przeniosła się do córki, pomagając jéj tylko w zarządzie domowym. Pani Janowa uzbierawszy piéniędzy, kupiła kamienicę i doczekała słodkiéj zemsty urągania swoim prześladowcom, przepychem ciężko wprzód zapracowanym.

Pudłowski Senjor, całe życie robił skrzydła i nigdy dokończyć ich nie mógł; zawsze były

albo za małe dla podniesienia człowieka, albo za wielkie do podźwignienia przez niego.

Hahngold zniknął wkrótce z Krakowa, zostawując po sobie pamięć na długo u żaków, których oszukał w ostatnich wypłatach daniny pobieranéj na ich korzyść u żydów.

Urwis nad wszelkie spodziewanie wyszedł na człowieka i zasiadał z wielkim applauzem w Magistracie Krakowskim, gdzie się mianowicie dowcipem i przebiegłością a szybkością sądu odznaczył.

Lagus zgnił w barłogu jakimś.

Pleban Zębocinski umarł jak żył świętobliwie, przeżywszy długie jeszcze lata w spokojném swojém zaciszu. Napróżno ofiarowano mu kanonije i urzędy, on je z pokorą odrzucił, błagając, by go od parafian nie odłączano. Organista znalazł śmierć na dnie kufla, w który tak ciekawie zaglądać lubił.

Pan Krzysztof Pieniążek zaciągnął się późniéj do wojska i służył długi czas w Inflantach i przeciw Moskwie. Łęczycanin upodo-

bawszy wielce Marzec u Krzaczkowéj, uczęszczał nań bardzo długo. Sławny ten Marzec, przyprawił go nareszcie o wielkie strapienia w życiu. Niestety! najczęściéj giniemy od przyjaciół naszych. Rozpowiemy jak się to stało.

W początkach skutki napoju, były na oko pożądane i szczęśliwe. Szlachcic wzdymał się, żył, rumieniał, lice jego czerwieniało, nos także. Po niejakim czasie rumianość przechodzić zaczęła w siność, otyłość w zdęcie; piękne barwy nosa wyrastającemi na nim skaziły się brodawkami. Nogi ociężały mu i pobrzękły, praca stała utrapieniem, bo ani chodzić, ani ubrać się sam, ani na koń siąść nie mógł, ani wreszcie szablą zamachnąć zręcznie, jak to dawniéj bywało. Z trwogą poglądał na rosnący brzuch, który mu pod gardło coraz bardziéj podchodził, pas wprzódy kilka kroć obstający, teraz ledwie na półtora obwinienia wystarczał, suknie pękały i groziły sprawieniem nowych.

Najgorzéj że nie było za co. Koń, kulbaka,

zapasne kontusze i żupany posprzedawane zostały z kolei i poprzepijane u Krzaczkowéj. Czerwone buty nawet zastawione Kurdybanikowi, w kuflu utopione nareszcie.

Jeszcze nieco grosza pozostało do przepicia, gdy fatalne wypadki u Krzaczkowéj zaszły. Niespodziewanie, nieprzewidzianie, niepojęcie, nagle: Marzec tak pogorszał, tak się zepsuł, że go pić już szlachcicowi nie wypadało. Poszedł do drugiéj szynkowni, i tam to samo, do trzeciéj, to samo; obszedł Kraków, Kazimiérz, Stradom, wszędzie Marzec zepsuty, kwaśny, cieńki, niegodny nazwiska! Cieńkusz, lura, bezeceństwo!

Widząc to szlachcic ręce załamał i oddał się czarnéj rozpaczy. Żyć nie mógł na świecie, smutnie począł przepowiadać jego blizki koniec, poglądał obojętném okiem do koła, płakał, aż nareszcie umarł. Przykro nam wyznać, że pogrzeb jego był mniéj niż skromny. Trumna tego zasłużonego człowieka z cztérech sosnowych desek zbita, nie malowana, na wozie

wieziona; za wozem, nikogo. Stary dziad, baba i kilku pobożnych kapników.

Pozostałości Łęczycanina składające się z dzbanka nadtłuczonego, szklanki rozbitéj, dwóch koszul podartych i batożka pamiątki zachowanéj od sprzedaży konia i kulbaki, rozchwytane zostały niegodnie po jego zgonie. Rodzina ani puścizny, ani nawet wieści o śmierci krewnego, nie otrzymała.

I koniec. Tak jest, koniec nareszcie. Nie powiemy wam wzorem starożytnych, *plaudite cives*, bo to by było i zbyt zarozumiale i nadto pogańsko i wolemy stan polskim krojem; jak gospodarz gosciom po obiedzie, z ukłonem pokornym, szepnąć.

Wybaczcie!!

KONIEC.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM.

—

Koniec tomu czwartego.